Nr. 8. Warszawa, dnia 25 (13) Lutego 1893 r. Rok XIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

ŹRÓDŁO OBAW.

Rząd francuski, pomimo że w obecnej Izbie znajduje się dużo moralnego błota i osobistości pokalanych sprawą panamską, nie chce rozpuścić parlamentu, którego nie może wyszlamować. Lęka się on bowiem świadomie, a jeszcze bardziej instynktownie wyniku nowych wyborów. Obawa ta wyraża się głośno jako przewidywanie możliwości powrotu do władzy monarchistów, ale w cichych szeptach brzmi nieco inaczej. Nie ulega wątpliwości, że naród nie wybrałby ponownie panamczyków, ale gdyby chciał wraz z nimi usunąć stronnictwa, do których należą, to musiałby usunąć prawie wszystkie, gdyż prawie wszystkie pokalały się łapownictwem. Brali zarówno republikanie, jak monarchiści, zarówno Clemenceau, jak Cassagnac. Nie przeciw jakiejś jednej partyi zwróciłaby się odraza narodu, ale przeciw partyom, składającym większość obecnej Izby. Ten żywioł bądź niewiadomy i nieznany, bądź wiadomy i znany, który byłby prawdopodobnym zwycięzcą i następcą dziś rej wodzących, przeraża nietylko posłów, drżących o swoje mandaty, ale i klasy społeczne, drżące o swoje interesy. Stąd niechęć do rozwiązania parlamentu, do rozpoczęcia gry, która albo sprowadzić może porażkę, albo gorszą od niej niespodziankę.

Ale ostatecznie te istoty, które budzą trwogę w teraźniejszych posiadaczach mandatów i władzy, nie kryją się na dnie morza społecznego i nie wypłyną na wierzch tak dalece nieznane, ażeby nie można było nic powiedzieć ani o ich naturze, ani o ich sile. Przedewszystkiem są to pierwiastki, które zwykle we wszystkich sejmach układają się na skrajnej lewicy. Niepodobna ich dziś jeszcze ochrzcić żadnem ścisłem mianem, gdyż naprzód przedstawiają one we Francyi dość różnorodną mieszaninę, a powtóre, o ile zróżniczkowały się już bardzo wyraźnie w życiu, o tyle nie wystąpiły pod określonymi sztandarami stronnictw parlamentarnych. Jest to zjawiskiem dziwnem, że Francya, która np. posiada liczną i szeroko rozgałęzioną partyę, odpowiadającą niemieckim socyalno-demokratom, ma ją ledwie na pokaz w Izbie. Mieszają się tu socyaliści z radykalistami i rozmaitymi przedstawicielami kresów lewego skrzydła. Komu przewodzi Richter lub Bebel — wiemy, ale komu Clemenceau — nie zawsze zgadujemy. Izba francuska ma tę szczególną właściwość, że w niej stronnictwa barwią się ciągle politycznie, a rzadko społecznie. Pod tym ostatnim względem jest ona bardziej zmącona od najmniej zróżniczkowanych parlamentów w Europie. Wynikło to stąd, że rządy Rzeczpospolitej daleko więcej zajmowały się sprawami politycznemi, niż społecznemi, co wyszło krajowi na wielką szkodę. Powstała w nim bowiem niezliczona ilość instytucyj przestarzałych, praw pół-barbarzyńskich, stosunków przeżytych, mnóstwo skamieniałości cywilizacyjnych, które urągają już nietylko organizacyi państwa, ale nawet wszelkiej rozwiniętej kulturze. Czasem doniesienia stamtąd sprawiają wrażenie przesadnej parodyi lub bajki, tak są nieprawdopodobne a jednak prawdziwe. Z wielu faktów przypominamy częste wypadki pomyłek policyi paryskiej, która najuczciwsze kobiety (kilkakrotnie żony posłów) łapie na ulicy i sadza do kozy, jako ladacznice. Są to następstwa potwornych praw i obostrzeń, jakim dotychczas ulegają we Francyi kobiety, ubezwłasnowolnione i oddane pod ciągły dozór policyjny. Wątpimy, czy jest w Europie kraj, któryby je tyranizował i krzywdził z równą surowością. Takie zaś „resztki dobrych dawnych czasów" spotykamy we wszystkich niemal dziedzinach życia. Dzięki im Francya wygląda tak, jak gdyby wdziała nową skórę, nie zrzuciwszy starej.

Sprawa panamska nie była polityczną, gdyż nie związała się z ustrojem państwa i nie oparła się na żadnej partyi, ale wyłącznie społeczną. Odsłoniła ona żarłoczną grabież wielkiego kapitału, a przytem poruszyła wszystkie związane z nią zatargi i pretensye. Naród przeto obmierził sobie nie Rzeczpospolitę, nie umiarkowanych lub radykalnych republikanów, lecz bezkarne rabusiostwo spekulacyj finansowych wielkiej miary. Rozpoczęta w dzisiejszym numerze *Prawdy* korespondencya z Paryża oświetli czytelnikom ten punkt na tle wypadków najświeższych; my tylko chcieliśmy zwrócić uwagę na właściwych nieprzyjaciół obecnego porządku, a raczej bezładu, którzy powstrzymują kierowników państwa od rozwiązania Izby. Niedługo jednak da się odwlec ta ważna i dla Francyi przełomowa chwila. Za kilka miesięcy nowe wybory muszą się odbyć. Rząd ma nadzieję, że do tego czasu obmyje swą republikańską szatę z plam błota panamskiego — nie wątpimy, ale wątpimy, ażeby jego dotychczasowi rzecznicy w parlamencie otrzymali odpuszczenie grzechów społecznych. Przy urnach wyborczych stoczona będzie zacięta walka sił starych i zdyskredytowanych z nowemi i jeszcze niezbrukanemi. A tak ona jest nieunikniona i ważna, iż nie można się dziwić narodowi, oczekującemu jej rezultatów z wielkim niepokojem; on zna siebie, swoją zapalną naturę, swój temperament, skory do gwałtownych wybuchów i niespodzianek, wogóle swoje właściwości, wyłączające nawet przybliżone obrachowanie. Nowość bawi w modzie, ale nie w polityce, zwłaszcza gdy do niej wstępuje z zamaskowaną twarzą.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Dla naszych czasów nic tyle ważnym, ile niezmiernie charakterystycznym wypadkiem jest naprzód wiec, a następnie związek rolników niemieckich, który wysłał deputacyę do cesarza z prośbą o obronę interesów stanu ziemiańskiego. Prośba ta nie była wyrazem pragnień idealnych i ogólników, lecz dotyczyła faktu konkretnego — toczących się układów o traktat handlowy między Niemcami a Rosyą. Ponieważ pierwsze w razie zawarcia umowy musiałyby drugiej poczynić ustępstwa w cłach zbożowych, więc rolnicy niemieccy występują przeciwko takiej możliwości z całą siłą. Nad tym patryotyzmem interesów zastanowimy się wkrótce szczegółowo, gdyż jest on objawem nadzwyczaj pouczającym z wielu względów; dziś zaznaczamy go tylko. Dodać należy, że chociaż cesarz niemiecki przyjął deputacyę ziemiańską bardzo grzecznie i przyobiecał jej swoją dobrą wolę, *jeżeli* projekt reformy wojskowej będzie w sejmie przyjęty, rząd wszakże niezbyt mile widzi ten ruch, dość wyraźnie przeciw niemu zwrócony i mający swe źródło w... Friedrichsruh. Kanclerz Caprivi skarcił nawet ostro w parlamencie samolubstwo „agrarczyków,“ którzy chcą, ażeby państwo im tylko dogadzało i dla nich poświęcało interesy innych klas społecznych.

W okręgu Tczew-Starogród-Kościerzyn wybrany został do sejmu niemieckiego znaczną większością polak Michał Kalkstein z Klonówki; w wyborach zaś na sejmik prowincyonalny Ks. Poznańskiego zwyciężył budowniczy, Czesław Robiński z Krotoszyna.

Bil irlandzki przyjęty został w pierwszem czytaniu bez rozpraw, które nastąpią dopiero przy drugiem. Wtedy wybuchnie walka w rezultacie swoim ciągle wątpliwa. O tyle jedynie poprawiły się jej warunki, że irlandczycy, widząc zbyt wiele przeszkód przedstawiających się Gladstonowi, zniżyli swe wymagania i postanowili niemi nie utrudniać sytuacyi.

Turcya wycofała swego komisarza, Maktara paszę, z Egiptu, co znaczy, iż uległa naciskowi Anglii. Miał on bowiem być głównym doradcą kedywa w oporze. Jak zaznaczyliśmy dawniej, dyktatorskie postępowanie lorda Cromera wywołało zgrozę śród egipcyan i przyspieszyło rozwój t. zw. partyi narodowej, która dąży do zrzucenia jarzma angielskiego. Istniała ona zawsze w zalążku, a teraz wzrosła na drożdżach zatargu. Nie należy wszakże przeceniać ani jej rozwoju, ani sił. Egipt jest mumią historyczną, jego lud nie posiada w sobie żywotności i energii narodów młodych, a przytem jest zbyt czuły na ponęty osła obładowanego złotem. Zdobędzie się na wrzenie, na wytworzenie anglikom kłopotów i niebezpieczeństw, ale do śmiałego czynu się nie zerwie. Za zbyt wiele ma uzdolnień na niewolnika.

Jubileusz biskupi papieża odbył się ze zwykłą jaskrawością ceremoniału.

Musimy sprostować powtórzoną za błędnemi doniesieniami wiadomość o zaślubinach ks. Ferdynanda Koburskiego: nie ożenił on się bowiem jeszcze z księżniczką Parmy, ale dopiero zaręczył.

Prezes senatu francuskiego, Leroyer, zmęczony chorobą, a może jeszcze bardziej burzami parlamentarnemi, podał się do dymisyi i pomimo próśb cofnąć jej nie chciał. Między kandydatami wymieniają J. Ferrego.

Zdaje się już być niezawodnem, że senat waszyngtoński przyjmie wnioski komisyi i włączy wyspę Hawai do swego obrębu. Widocznie bowiem żadne mocarstwo przeciw temu nie zaprotestowało.

BADANIA NAUKOWE.

NAUKA W USŁUGACH POLITYKI.

II.

„Niemcy — to naród, czytający książki“, mówił Stein w roku 1809 — to naród, na którego książka wpływa, który roznamiętnia, do czynu pobudza. To też „Historya Niemiec Treitschkego jest wyrazem takiej propagandy. Nie jest ona bez poprzedników. Coś głosili długo, długo przed rokiem 1870 Gervinus, Dahlmann? *). Przedewszystkiem obaj byli deputowanymi na sejm frankfurcki—Dahlmann odegrał tam nawet znaczniejszą rolę polityczną. Cokolwiek studyuje Gervinus, czy Machiawel jest przedmiotem jego badań, czy Shakespeare, czy pisze dzieje literatury niemieckiej, albo opowiada historyę XIX stulecia — zawsze i wszędzie poza zbrojnym szeregiem faktów ukrywa się pewna, z góry powzięta myśl polityczna. Nie tai on bynajmniej, że historya nie jest dla niego celem, ale środkiem, żąda od niej argumentów, świadectwa, gdy broni swej sprawy. Dla tego też większa część jego prac, które posiadały w swym czasie ogromną wartość, wkrótce utraciła całkowicie swoją siłę pociągającą i blask swój. Kiedy w r. 1834 zaczął ogłaszać dzieje literatury niemieckiej, uważał za konieczne wytłomaczyć się ze swego zamiaru. „Wybrałem — mówi w przedmowie — literaturę niemiecką za przedmiot studyów dlatego, że najwięcej według mego mniemania odpowiada potrzebom czasu. Niemcy — woła, czasy literatury skończyły się już, nadeszła chwila czynu. Literatura doszła dzisiaj już do swego apogeum... Jeżeli życie Niemiec nie ma stanąć w biegu i zdrętwieć, to tylko kwestye polityczne mogą je uzdrowić. Oto jakim „duchem nowym natchnąć trzeba materyę nową.“ Ja sam w poczuciu słabych swych sił — jestem zwiastunem zmian takich...“ Niemcy zrozumieli tę ewangielię, przyjęli szpikiem swych kości jej zasady: mistrz znalazł posłuch u narodu „czytającego książki.“ „Niemcy — pisał w r. 1862 na stronicach *Revue des deux Mondes* Julian Klaczko — od Gervinusa otrzymali w dziedzictwie uczucia, które dziś żywią: poczucie swej wielkości i jedności, swój gorący i dziki patryotyzm, teoryę, która służy tylko praktycznym celom, nawet kosztem sprawiedliwości, nienawiść — ślepa i głupia dla zagranicy, zwłaszcza dla Francyi, wiarę wreszcie niezachwianą w swe siły i losy.“

I Gervinus i Dahlmann — nieświadomie być może, byli pachołkami pruskiej wielkości i sojusznikami Bismarka. Któż bo więcej, jeżeli nie Prusy, mógł korzystać z uczuć, któremi usiłował natchnąć Gervinus młódź niemiecką? Przestrzegał ją przed wpływem, jaką wywierała Francya na południowe Niemcy. Wszystko, co francuskie wydaje mu się podejrzanem. „Młode Niemcy“ — to hańba ojczyzny skutkiem sympatyi, którą żywią dla Francyi i większa jeszcze ohyda dla Niemiec z powodu nienawiści, jaką wzniecają do instytucyi pruskich.

*) L. Lévy-Bruhl. *L'Allemagne depuis Leibniz*, 1890 str. 445 i nn; rozdział ten drukowany był poprzednio w *Rev. d. d. Monds* 1888 T. LXXXVIII pod tyt. „Les Idées en Allemagne“ str. 121 i nn.

5

Wanda Grot-Bęczkowska.

MARYŚKA.

Sroga zima objęła ziemię w posiadanie. Śnieg okrył pola i lasy grubo na parę łokci, marzła zwierzyna i ptactwo a nie rzadko i z ludzi brała ofiary ta biała, puszysta pani.

W niewielkim, ale dostatnio wyglądającym dworku zamożnego dzierżawcy przygotowywano się do wesołego spędzenia ostatków. Pani smażyła pączki i faworki, piekła placki, urządzała kiszki i kiełbasy.

Czarnooka Ludka przyozdabiała pąsowemi kokardami popielatą, barcżową sukienkę, ciesząc się nadzieją zabawy. Ojciec ściągał piwo z antałków, gatunkował rozmaite nalewki i żartował z córki, prześladując ją chłopcami.

— Co mi tam z zabawy! — dąsała się żywa, rozpieszczona Ludka. Nie chcę ani Juliusza, ani kuligu, skoro Kazia nie przyjedzie. Nawet, jak się rozzłoszczę, to wszystkie pączki zabiorę mamie i poślę dzieciom do szkółki. Bo to tylko rodziców wina, że Kazia na ostatki nie przyjedzie. Gdyby się rodzice byli uparli i kazali, Janek musiałby posłuchać i przywieźć Kazię.

— Ależ, moja Ludko — tłomaczy ojciec, z przyjemnością przypatrując się energicznej panience — czyż przypuszczasz, że ja i matka nie radzibyśmy byli zobaczyć Kazi? Ale trzeba przecież mieć rozum. Trudno... nie można.

— Dlaczego nie można? — dopytywała się natarczywie panienka. Dlaczego?

Ojciec był w kłopocie, z którego wybawiło go dopiero wejście żony.

— Czemu to Kazia przyjechać nie może? — zwróciła się Ludka do matki, poraz setny może zadając jej to pytanie.

Matka kwestyę przecięła odrazu. Pogłaskała czule gładką jak aksamit twarzyczkę córki i rzekła żartobliwie:

— Wyjdź za mąż Luduś, a dowiesz się... Pan Juliusz i tak dość długo znosi już twoje kaprysy. Tymczasem, nie nudź ojca, bo chcę z nim pomówić.

Wiesz, Ignasiu — zwróciła się do męża — niespokojna jestem o Kazię. Tydzień już, żadnej wiadomości nie mamy. Może by posłać?

— Dobrze, kochanko — odparł pan Ignacy. Ale kogo poślesz? Ja, dalibóg, kawałka człowieka dać nie mogę. Tego bałwana Bartka puściłem na zrękowiny, Marcin musi być przy koniach. Któż więc pójdzie?

— Otóż w tem sęk właśnie — odrzekła i zamyśliła się... Wiesz co, Ignalku, mam dobrą myśl... niech Marysia idzie. I tak nie na wiele się tu przyda.

— Masz racyę — odparł p. Ignacy — może lecieć dziewczyna. A kiedyż chcesz posłać, Franeczko?

— Jutro, kochanie, i to muszę zaraz zrana. Dzień krótki — droga ciężka.

— Wie mateczka, ta Maryśka musi być bardzo nieszczęśliwa — rzekła Ludka. Ileż to razy widziałam ją płaczącą, a nigdy nie słyszałam, żeby się śmiała.

— To prawda — potwierdzili rodzice — dziwna dziewczyna.

— Hm, hm — mruczał pan Ignacy — ja już sobie nieraz myślałem, że coś w niej jest niezwykłego i obserwowałem. Jakoście w tłusty czwartek pojechały do Błotnej, siedziałem oto sobie z moją opuchłą gębą, klnąc i ból i zęby, na czem świat stoi. Dziewki poszły na hulankę, parobcy pociągnęli za niemi. W domu było cicho, jak makiem siał. Myślę sobie: palnę kielich żytniówki, może mi się głowa rozmarzy i prędzej zasnę. Idę tedy do śpiżarni. Wtem... słyszę płacz w kuchni. Co to jest... myślę sobie. Kto tam tak zawodzi? Pod-

Pewien przeciwnik polityczny Treitschkego w parlamencie niemieckim, charakteryzując go, wyrzekł okrutne słowa, które atoli zawierają wiele prawdy: Treitschke, mówił — to głuchy, który oślepia *). Dla uczonego historyka niema żadnych sprawdzianów — jeno Prusy, nie istnieje żadna nauka, jeno pruska. Tylko ta poezya ma racyę bytu, która śpiewała o ich wielkości — i ta tylko zasługuje na uznanie historyka, która w proroczych widzeniach przepowiadała potęgę oręża pruskiego. To jest jeden wspólny mianownik, do którego sprowadzają się wszystkie argumenty historyczne, który stanowi o prawdziwości dokumentów, o wartości pisarza, o sumieniu, o prawdzie. Kiedy w literackich swych próbach mówi o wzniosłym ideale Lessinga, nie powie nic więcej, jeno że jest chimerą, że są cele bardziej rozumne, bliższe do osiągnięcia — bardziej istotne, bardziej pruskie. Indywidualizm Wertera, nieśmiertelne typy Byrona — toć to płytki idealizm tylko, a zresztą, jako opozycya względem ustaw krajowych — to zbrodnia. Poezya — to zbytek, bezpożyteczny, ba! szkodliwy nawet. Włochy stały się wielkiemi wtedy tylko, kiedy zrozumiano, że najlichszy urzędnik administracyjny wart jest więcej od najznakomitszych malarzy, poetów, artystów. „Więcej wart szewc, który buty szyje — przed Bogiem i ludźmi — aniżeli poeta.“ Są jednak pomiędzy tymi potępieńcami ludzie, którzy zasługują na pochwałę historyka-sędziego. W tej grupie wybranych znajdziemy przedewszystkiem H. Kleista — bożyszcze młodzieży pruskiej, który w zapale dramatycznym wołał ongi: „Niechaj wszyscy wrogowie Brandenburgii gryzą ziemię — ruin i cmentarzy!“ (*Książę na Homburgu*).

Po zaborze Alzacyi pokłócił się na chwilę Treitschke nawet z... Bismarkiem. Zarzucał mu, że nadał prowincyom ujarzmionym charakter „krajów koronnych.“ Należało — twierdził wtedy — uczynić z nich prowincyę pruską, poddać je dyscyplinie pruskiej (preussche Zucht), nagiąć do rozkazów „pałeczki“ feldwebla... „Alzatczycy nauczą się kochać wtedy, kiedy silna ręka pruska wychowa ich należycie... Pogodzą się ze swym losem... zapomną o panowaniu francuskiem, zupełnie jak pomerańczycy zapomnieli o szwedach i przeszłości.“ Czy zapomnieli?

Zobaczmy jednak, jak patrzy obecny „historyograf pruski“ na poprzedników swoich. Wiemy już, że zanim słońce dziejopisarstwa pruskiego weszło pod znakiem Treitschkego — dość długo nawet stało ono w konstelacyi Rankego. Treitschkego rażą nawet liberalistyczne wyskoki Gervinusa — cóż mówić dopiero o przedmiotowości Rankego, o jego arystokratyzmie, dla którego losy świata wydają się być niczem więcej, jeno partyą szachów, odgrywaną przez dyplomatów. Dla Rankego jednako ważnemi i godnemi badań były i historya papieży i dzieje serbów: ten uniwersalizm umysłu niemieckiego, to sprawy dawne, już zapomniane, już spleśniałe... Takie ocenianie wypadków z historycznych, jak gdyby z odległości innej planety — to hańba dla historyka, który może być jedynie dziejopisem swego czasu i swego kraju, którego obchodzi przeszłość o tyle tylko, o ile wiąże się z teraźniejszością, a obce ludy o tyle zajmują, o ile ocierają się z jego pobratymcami. Historyk — to wielki pedagog narodu, który go poucza, jak służyć swej ojczyźnie, ażeby była wielką, jedyną, przedewszystkiem zaś jedyną.

Historya przekształca swój zegar wobec takich filozoficznych założeń: nie rok 89 będzie dla niej jutrzenką nowożytnej ludzkości — będzie nią rok 1521. Luter — to pierwszy bohater. Nie kto inny zasłużył się nowożytnej historyi — żadna inna kultura, żadna cywilizacya — tylko Prusy. Fryderyk — to drugi bohater. „On wprowadził na nowo prawdę do polityki niemieckiej, jak ongi Luter natchnął nią myśl niemiecką.“ Ludy dzisiejsze nie dojrzały jeszcze do parlamentaryzmu, do rozkoszy oratorskich: naprzód niechaj Niemcy będą silne, wielkie jedyne, niech panują na ziemi i morzu w Europie i gdzieindziej — wtedy dopiero będą mogły pozwolić sobie na zbytek rządów liberalnych i parlamentarnych — według wzoru angielskiego „Eisern, eisern ist die Zeit“ — powtarza za Geiblem historyk niemiecki. Wojna jest piękna, wszak ma swych poetow, jest moralną, ponieważ zadaje kłam głupim teoryom „wiecznego pokoju,“ teoryom, zawdzięczającym swe powstanie grubemu materyalizmowi dobrobytu i szczęśliwości... Ona kształci serce i ducha, ona daje zwycięztwo tym, którzy w walce o byt okazują się silniejszymi, bardziej przystosowanymi do warunków. A więc biada narodom pokoju, biada słabym! Być może — że „ich jest państwo niebieskie,“ ale tu na ziemi szczęśliwi są ci, którzy wojują: ich bowiem jest państwo nasze. Rzecz pewna, że wobec takiej ewangielii krótkie panowanie Fryderyka III musiało zapuścić grot śmiertelny w serce zacietrzewionego najmity Bismarkowskiego. Treitschke w nekrologu przedstawia go, jako ideologa, opanowanego przez partyę, „która chciała stworzyć z Hohenzollerna cesarza liberalnych żydów.“ „Największem nieszczęściem, jakieby nas spotkać mogło, byłby rząd słaby, któryby poddawał się doktrynery parlamentu.“ Młody Wilhelm II winszował publicznie Treischkemu takiej oceny ojca swego.

„Uważają nas — wołał Treitschke — za naród flegmatyków — to fałsz wierutny: rzadko który potrafi tak nienawidzieć, jak prusacy.“ Dowiódł tego Treitschke. Ziarno, które sieje, nie pada na grunt nieprzygotowany, nieurodzajny. Młodzież, która go słucha nabożnie w audytoryach uniwersytetu berlińskiego, która pochłania jego dzieła naukowe, która entuzyazmuje się jego bezeceństwami w „Rocznikach pruskich“ — ta młodzież aż nadto dobrze przygotowana jest do życia publicznego, do życia — pruskiego. „Rośnie pokolenie — mówi Ludwik Bamberger — które widzi patryotyzm tylko pod znakiem nienawiści, nienawiści dla wszystkiego, co jest niepo-słuszeństwem, niepoddaniem się wewnątrz i nazewnątrz i które krwawą swą mową przypomina skrwawioną szablę niemiecką. Oni umieją nienawidzieć“ *).

Tak oto wygląda nauka w służbie. Nauka ta potrafi śmiać się z tych czasów, kiedy Schlosser oceniał wypadki i ludzi ze stanowiska moralności. „To partykularz“ — wołał H. v. Sybel. To robi wrażenie „owych starych sztuk scenicznych, w których bezwerunkowo każdy radca pruski był charakterem dwuznacznym, każdy dworak — zbójem wierutnym, minister zaś zakorzenicielem grzesznikiem“ **). Dzisiaj nauka sądzi inaczej — wyrokuje wzrost, przeciwne szerzy poglądy i krzewi uczucia. Dzisiaj została inna poezya!

Był czas, o którym wspominał Fustel de Caulanyes, kiedy „hisotrya nie znała ani zawiści partyjnej, ani nienawiści rasowych; szukała prawdy, chwaliła to, co piękne i nienawidziła wojny i zaboru. Nie służyła niczyjej sprawie, nie miała ojczy-

*) I. Bourdeau. „Un apologiste de l'etat prussien“ (*Rev. d. d. M.* 1889 t. 93). Korzystamy w znacznym stopniu z tego pięknego studyum.

*) *Die Nachfolge Bismarcks*, 1889, cyt. przez Bourdeau.

**) Sybel, Kleine histor. Schriften I, s. 253.

---

szedłem pocichutku do drzwi i patrzę: pod oknem siedzi Maryśka, załamała ręce nad głową i wzdycha. Jużem chciał pytać: co jej jest... gdy ona zerwała się szybko i uklękła. Jak zacznie bić się w piersi a jęczeć, aż mnie samemu głupio się zrobiło. Czekam, co dalej będzie, alem się widać poruszył i ona szelest usłyszała, bo poderwała się z ziemi i w najciaśniejszy kąt izby uciekła. Oczy miała wystraszone, dzikie jakieś... i tuliła się do ściany, jakby uciec chciała przed czemś niewidzialnem a strasznem. Wiesz, Franeczko, że mnie to zadziwiło ogromnie. Czyżby ona co złego zrobiła i teraz sumienie ją dręczy?

— Bardzo być może — odparła żona. Już i ja to zauważyłam, że ciągle czegoś się lęka. Ale z drugiej strony: wierna, jak pies, uczciwa, nic nie ruszy, niech sobie siedzi.

— Wezmę ją od matuchny, jak zamąż pójdę — zawołała Ludka. Ani się pytać będę, czy to się panu Juliuszowi spodoba.

Ugryzła się w języczek, ale już zapóźno. Śliczna twarzyczka oblała się purpurą. Tak starannie dotąd ukrywająca swą tajemnicę, tak gorąco wypierająca się chęci zostania panią Juliuszową, zdradziła się teraz sama.

Przepadło. Już teraz nie może dłużej dręczyć biedaka. Zresztą, czyżby ojczulek wytrzymał i nie zdradził jej przed swym ulubieńcem. Rodzice śmieją się z niej teraz i mają racyę. Ha! cóż robić! Rzuciła się na szyję matce, uściskała ojca, zapewniając ich uroczyście, że tylko chęć dowiedzenia się przyczyny, dla której Kazia przyjechać nie może, wpłynęła na łaskawą dla pana Juliusza decyzyę.

Nazajutrz była sobota. Od piątej rano ruch już we dworze niemały. W kuchni siedzi Maryśka i obojętnie wyławia z barszczu kartofle, obok niej parobek Marcin nie spuszcza dziewczyny z oczu. Pastuch oprzątnął się z krowami i wszedł do izby.

— A co tam na dworze, Wicek? — pyta dziewka, nalewając mu barszczu na miskę. Musi słota?

— A ino — odparł zapytany — śnieżysko wali, znowuj wszyćkie drogi zasypie.

Marcin poczciwe szare oczy zwrócił z niepokojem na Maryśkę.

— A jakże ty pójdziesz, Maryś, kiej śnieg wali, a mróz wciąż trzyma? Pewnikiem zadymka będzie. Jeszcze cię kaj zawieje. Ten bestya Bartek, żeby go!.. Byłby przy koniach został, a jabym w mig do Lisowa przeleciał za ciebie.

Dziewczyna obojętnie głową potrząsła.

— Kazali, toć pójdę — rzekła. Mnie ta śnieg nie sztraszny.

Marcin wciąż wzdychał.

Pastuch śniadanie zjadł i poszedł. Dziewka trzodzie jeść zaniosła, w izbie został tylko Marcin z Maryśką.

Parobek łyżkę położył, nie szło mu jadło dzisiaj. Przysunął się do Maryśki i rzekł nieśmiało:

— Maryś moja, posłuchaj, ano co ci rzeknę: jużem bez tyla dni, bez tyla noców myślał, jakby ci to powiedzieć, ano byłaś zawdy taka zachmurzała, bez tom się bał. Ale wczoraj, kiejśta już wszyscy do śpiku legli, mnie jakowaś tęschność napadła i spać nie mogłem. Więc sobie w stajni usiądnąłem i myślę: ej Marcin, jakiś ty głupi! Czemu to nie powiesz Maryśce, co ją miłujesz. Dyć to nie grzech, ani zbrodnia. Bóg widzi, co nie bałamuctwo nijakie, ino chcę poczynać z tobą uczciwie i po bożemu. Powiedz ino, czym ci miły, to po Wielgiejnocy weźmiemy ślub i tyla. Będziesz sobie w chacie gospodynią, krzywdy nijakiej zrobić ci nie dam. Niech mnie Bóg pokarze. Mam po ojcach grosiwa trochę, nie zmarnowałem nic, jeszcze dorobiłem. Biedy nam nie będzie. Oj, Maryś, ty nie wiesz jak ja cię miłuję. Już bez śtyry roki na ciebie patrzę i tak mi serce do ciebie lgnie... Zbrzydły mi wszyćkie dziewuchy odrazu. Jak ty mi powiesz, żem ci niemiły, to se chyba co złego zrobię... No i co Maryś? Nie rzekniesz nic?

zny, nie nawoływała do inowacyi — nie umiała też nawoływać do odwetu“ *).

Młody uczony francuski, Abel Lefranc, który zblizka badał naukę akademicką w Berlinie (*Revue intern. de l'enseignement* 1888 T. XV s. 239—262) taką przeżył między innemi chwilę w „zaciszu“ audytoryum historycznego. „Podczas gdy profesor zapałał się do dziejów pruskich, gdy gromił Leibnitza złośliwą uwagą o dwulicowości W. Elektora — usłyszeliśmy z ulicy wrzaskliwe, entuzyastyczne krzyki: *Hoch!* To cesarz ukazał się w swem oknie. Gwardya defiluje przed nim wyprostowana i sztywna. Muzyka zagrała *Wacht am Rhein.* Wszyscy ci ludzie — żołnierz pod bronią, profesor na katedrze, słuchacz na ławce studenckiej — wszyscy żyją jednem uczuciem, pracują dla jednego celu. Zrozumiałem wtedy dziejopisarstwo niemieckie współczesne.“

I dla nas staje się ono zrozumiałem. Były czasy, kiedy wyobrażano sobie uczonego profesora jako starca, oddalonego od wiru świata, pochylonego nad pożółkłemi kartami pergaminu, lub też jako metafizyka, oderwanego od ziemi, który w nocnej zadumie myślał o „pierwszych zasadach“ bytu ludzkiego, o początku i końcu świata. O ileby takie obrazy istniały dzisiaj jeszcze, należy je jaknajprędzej zamknąć w muzeum „narzędzi inkwizycyi, dawnej zbroi i dawnych ubiorów.“ Dzisiaj profesor żyje „dniem dzisiejszym“: dzisiaj każe mu sumienie szerzyć „konstytucyonalizm“ Bismarka, dzisiaj zwołuje żołnierzy do szeregów i wyborców do urny—dzisiaj kształci on nie ludzi, boć to nadpowietrzne, ziemskie iluzye filozofów, marzenia metafizyków — dzisiaj wychowuje on prusaków.

Zapewne — że jeżeli taki Ernest Lavisse w niezliczonych artykułach, rozprawach i dziełach, w toastach bankietowych i w mowach do młodzieży żąda patryotyzmu, wymaga od uczonego miłości dla Francyi, uznaje tylko wychowanie narodowe, to rozumiemy tę reakcyę „odwetu“ przeciwko zaborowi pruskiemu. Zresztą każe on tylko kochać — do nienawiści nie nawołuje, ani do krucyaty, ani do stosów inkwizycyjnych, ani do banicyj. Wolno jest „zwyciężonym“ przeceniać siebie, nie widzieć zupełnej, absolutnej prawdy, zamykać oczy na strony ciemne swego charakteru. Nauka spokojna, rzetelna, wielka — sprowadzi wtedy fantazyę ludową w szranki istotnej prawdy, pozbawionej wszelkich iluzyj fałszu historycznego, mistycyzmu i zarozumiałości narodowej. Zresztą rzeczywistość sama, smutna i naga, aż nadto potrafi hamować takie natchnienie i zapał.

*) Już Fustel d. Coul. wprowadził do badań swych ten element nienawiści dla Niemiec. Dzisiaj jest to pogląd ogólnie rozpowszechniony i ceniony, którego przedstawicielem jest młody, niezwykle sympatyczny prof. Lavisse. Co innego atoli jest się bronić, a co innego napadać. Taki patryotyzm jest zawsze piękny i naśladowania godny.

Ale rzecz inna, straszliwie różna, w poczuciu swej siły, w brutalnej potędze rozszalałych namiętności, jak smok mityczny rzucać wokoło potoki iskier ognistych i strumienie jadu. Któż go okiełzna, któż zamknie paszczę jego, kiedy i ci, co na świeczniku idealizmu stać winni, woleli zamienić złote talenty *) swego natchnienia i miłości na grosze miedziane służby, karyery i liberyi.

Każda epoka historyczna — mówi Jerzy Brandes — każdy moment dziejowy możemy przedstawić w formie pewnego typu ludzkiego. Hellenizm wyobrażamy sobie jako Apolina z lirą, „z głową wzniesioną w niebo, źrenicą rozwartą szeroko, patrzącego w błękit czysty jak fala egejska“ (Konopnicka); wieki średnie w fantazyi naszej budzą obraz rycerza, który walczy, śpiewa o miłości czystej i świetlanej, jak promień słoneczny, jak łza niewinności... Jużci że był czas i niemieckich Faustów, inny, dawno miniony. Kto stanie dzisiaj na kobiercu, wywołany różczką poety w noc bezsenną, bezlitośną przy słabym płomyku lampy? Kto?!.. Trudno jest zaprawdę nie zatrząść się wstrętem.

S. Posner.

*) Nauka niemiecka sama przyznaje się do takich „występków.“ Nie sposób zaprzeczyć, mówi prof. Wegele, że potężne wypadki i zmiany ostatnich dwu dziesięcioleci — pisano w r. 1885 — oddziałały w niezwykle silny sposób na nasze dziejopisarstwo .. (*Gesch. d. d. Historiographie*, s. 1055).

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Wicherkiewicz Władysław dr. fil., *Nauki o gospodarstwie domowem i społecznem* (opracowane podług Fritza Kallego). Warszawa, 1893.

Praca p. Wicherkiewicza nie jest oryginalnym płodem, ale wolną przeróbką pierwowzoru niemieckiego. W Niemczech wydawnictwa te noszą typową nazwę „szczęścia domowego.“ P. W. właśnie wybrał jedno z nich, najbardziej pouczające i przełożywszy je na język polski, przeznaczył dla użytku kierowników naszej produkcyi, zarówno przemysłowej, jak i rolnej, drobnej i wielkiej. Nawiasem mówiąc, rodowód tego dziełka jest tenże sam w Niemczech, gdzie po raz pierwszy ujrzało światło dzienne, co i pobudek przyswojenia go naszemu piśmiennictwu. Tu i tam — idzie o zażegnanie tegoż samego zła społecznego. Jest to odpowiedź na nie. Jak zaś daleco ten rodzaj odpowiedzi zgadza się z potrzebami chwili i jest ceniony, świadczyć może ta okoliczność, że do wydania tej broszury przyczyniło się już z góry aż *siedemdziesiąt jedna* najpoważniejszych w kraju firm przemysłowych. Stało się to w ten sposób, że one zawczasu zamówiły sobie pewną ilość egzemplarzy.

Ale skoro jest tak poszukiwaną, zobaczmy, co ona w sobie zawiera. Przedewszystkiem poucza, że „podstawę wszelkiego gospodarstwa większego, jako i gospodarstwa narodu całego stanowi gospodarstwo człowieka oddzielnego, czyli jednostki. Im lepsze jest gospodarstwo, tem lepsze położenie i stosunki gospodarstwa całego kraju, bo wszakże kraj cały tworzy zespolenie gospodarstw jednostek.“ Naturalnym wynikiem takiego założenia musi być wniosek, że zły czy dobry los jednostki w dzisiejszem społeczeństwie jest dziełem osobistych jej cnót i wysiłków. Ona, uznawszy raz istniejące otoczenie swoje za wielkość stałą, przyrodniczo niewzruszoną w swoich zasadniczych czynnikach, winna oglądać się przedewszystkiem na siebie i szukać ratunku w sobie. Jeżeli jest leniwa, niecierpliwa i bezwładna, niech stanie na straży swoich popędów i wolą wyrobi w sobie: pilność, wytrwałość i sumienność w pracy, a umiarkowanie, poczucie ładu i rozsądek — w spożyciu, w gospodarstwie domowem. Słowem, niech będzie uczciwą i — oszczędza.

„Doświadczenie uczy — powiadają pp. K. i W. — że tak samo zaoszczędzić może ten, kto zarabia rocznie 300 rubli, jak i ten, kto zarabia — 1000.“ Jeżeli ktoś zarabia 8 rs. tygodniowo to wolno mu wydać na żywność tylko połowę tej sumy: druga połowa winna pójść na opał, odzież, mieszka-

---

Dziewczyna milczała. Tylko pod wpływem szczerych słów chłopaka na dnie przepaścistych czarnych jej źrenic rozpalała się powoli światłość jakaś... Głos Marcina przebrzmiał, a ona wciąż słuchała... i wciąż jak muzyka szmer słów słyszanych grał jej w uszach.

Otworzyła usta, chciała przemówić, ale nagle głos uwiązł jej w gardle i drżeć poczęła. Czarna toń jeziora zawirowała przed oczami... szum wichru niesie ku niej słaby płacz niemowlęcia, a potem słyszy plusk czegoś ciężkiego w wodę.

Z błędnem spojrzeniem zerwała się i odsunęła od Marcina.

— Maryś, bój się Boga! Co ci to? —pyta chłopak niespokojnie.

Oprzytomniała. Przygarnęła się ku niemu rozpacznie, jakby pragnęła, aby ją bronił przed czem uciec nie może.

— Dolo moja dolo — szeptała cicho.

A on zdumiony coraz mocniej tulił ją do siebie.

— Maryś, powiedz przecie czego ty tak drżysz? Nie bój że się... toć cię nie przyniewolę. Kiedym ci taki niemiły, to se pójdę, ino nie desperuj. Spojrzyj że choć na mnie!..

Ale dziewczyna, zamiast odpowiedzieć, silniej jeszcze przytuliła się do niego.

— Panienka idzie — szepnął Marcin, spoglądając na drzwi i wypuszczając ją z objęcia.

— Mama woła, Marysiu — rzekła wchodząc Ludka. Chodź prędko. Czyś gotowa do drogi?

Marcin wyszedł na podwórze, dziewczyna do pani pobiegła.

Wkrótce potem w najdłuższym i najcieplejszym z półszubków, jakie miała w swej garderobie, z zawiniątkiem w ręku wyszła za opłotki.

Marcin czekał tam na nią.

— No i co, Maryś? Nic mi nie powiosz— pytał natarczywie. Cóżem ci krzyw?

Dziewczyna stała milcząca. W sercu jej toczyła się ostatnia walka sumienia z pragnieniem szczęścia, ku któremu dusza jej rwała się tak rozkosznie.

Marcin się nie dowie, myślała, będę mu służyła wiernie. Nie pożałuje, że mnie wziął.

Podniosła na niego oczy pełne słodkiej pokory.

— Ha! niech ta będzie, jak chcesz Marcinku. Twoja wola — ino żebyś nie żałował.

Marcin objął dziewczynę gorącym uściskiem.

— Oj Maryś, nie będziewa żałować. Abyś mnie ino choć krzynę lubiła.

— Ty głupi Marcinku, jaby za ciebie w ogień poszła, takiś mi miły.

Usta Marcina spoczęły na jej ustach w długim pocałunku.

Maryśka pierwsza ocknęła się z rozkosznego upojenia.

— Puszczaj mnie, czas iść.

— Twoja prawda Maryś, spiesz się, bo okrutnie się o ciebie boję, żebyś mrokiem nie wracała.

— Mnie ta śnieg nie straszny — śmiała się dziewczyna. Migiem te dwie milki przelecę. Bądź zdrów, Marcinku!..

— Idź z Bogiem, Maryś.

Marcin zawrócił ku domowi, Maryśka poszła drogą.

Śnieg sypał gęsty, zasłaniając wszystko do koła. Chwilami wicher podnosił tumany sypkiego śniegu, zawiewał drogę, gdzie ją jeszcze znać było, ostremi igiełkami zacinał twarz i oczy dziewczynie.

Maryśka nic nie czuła. W piersiach miała szczęśliwość bez granic. Nowe słodkie wrażenia ukoiły zmęczoną duszę i zepchnęły gdzieś na dno wszystkie bóle i męki, jakie nią targały.

— To pewnikiem matuś wyprosili mi tę łaskę u Boga — myślała. Może mi też Bóg mój grzech odpuści. Marcin się nie dowie... Żywa dusza ludzka nie wie... com zrobiła. Ludzie z Żelistowa nie widzieli mnie od

nie i światło oraz inne wydatki — „i coś jeszcze pójść do skarbonki, jako oszczędność.“ Gdyby nawet odkładać po pół rubla tygodniowo, to w ciągu roku uciuła się 25 rs., a w lat dziesięć, jeżeli jakie nieszczęście lub choroba nie nawiedzi, uzbiera się 250 do 300 rs., za które można będzie zacząć coś na własną rękę. Wszak Prusy świecą przykładem. Tam w r. 1841, kiedy Schultze z Delitsch dopiero pierwsze kroki stawiał na arenie działalności publicznej, w kasach oszczędności złożono 2½ miliona rubli, w 1889 zaś oszczędności wynosiły już 1500 milionów. Ale, jak statystyka uczy, są to jednak owoce powściągliwości drobnomieszczańskiej, uprawianej ze skutkiem tylko przez dorobkiewiczów. Dla nich to przedewszystkiem odsłania Fritz tajniki rachunkowości kupiecko - przemysłowej, będącej niewątpliwie kwintesencyą reguły trzymania siebie w garści.

Pomimo swej całej prostoduszności i sam autor zdaje się nie zupełnie wierzyć w skuteczność danych rad — dla wszystkich. Godzi się z tą nieubłaganą prawdą, że daleko większe widoki zostania samodzielnym ma rzemieślnik, niżeli robotnik fabryczny. To też dla niego ma inne środki: oświatę, szkołę, ludzkie obejście się pracodawcy z najemnikiem i bliższe z nim obcowanie. Sądzi, że tylko w ten sposób zniknie obustronne przeciwieństwo, prowadzące ostatecznie do zgubnej nienawiści, z której korzystają źli ludzie. Zupełnie to samo zaleca w Niemczech Hitze. „Dzisiaj, powiada, może każdy robotnik swobodnie przenosić się z jednego miejsca na drugie, niczem, ani prawem, ani zwyczajem nie będąc skrępowany w użyciu swej wolności. Jest to zupełnie słuszna emancypacya. Ale ta swoboda jednostki ma także swe złe strony, swoboda ta, jest uwolnieniem się z pod opieki prawa, które dotąd nad każdym krokiem przemysłowca czuwało. Ale jak dziecko dorastające i wyrywające się z pod opieki rodzicielskiej wchodzi nieraz na bezdroża, nie umiejąc jeszcze kierować się samo — tak też i przemysł oswobodzony z dawnych pętów (!) cechowych. Młody człowiek, doznawszy znacznych przykrości i szkód chętnie poddaje się znowu kierownictwu starszych, doświadczeńszych i mędrszych. Tak samo i przemysł wymaga dziś opieki prawa. Jeżeli zaś niektórzy wymagają dziś jeszcze zupełnej swobody dla robotników (bo pracodawców chcą krępować), jest to niesumienne zwodzenie i bałamucenie umysłów niewykształconych lub ciemnych.“ Nie pamiętają o tem, „że wszelkie powiększenie praw jednostki powinno być zrównoważone nałożeniem odpowiednich obowiązków... jeżeli równocześnie odpowiednio rozwinięte są zdolności każdego tak, iżby z większych praw umiał korzystać.“

Wobec tego na pracodawców wkłada bardzo ciężkie i rozległe obowiązki. Przedsiębiorca ma być względem swoich najemników tem, czem jest ojciec względem dzieci. „Powinien słowem i czynem oddziaływać na robotników wychowawczo; powinien interesować się ich sprawami, dopomagać im radą, o ile tylko może i ile tego potrzeba, także i czynem; powinien wreszcie starać się o to, aby ci z pomiędzy robotników, którzy odznaczają się sumienną pracą i zręcznością, mogli odpowiedni znaleźć zarobek.“ Gani im, że są przeciwni szkołom, zwłaszcza uzupełniającym wykształcenie początkowe. Nie rozumieją oni swego interesu. Powinni je sami zakładać, a jeżeli nie podołają, to radzi robotnikom, żeby to czynili połączonemi siłami. Ale daleko skuteczniej niż przez odpowiednie obcowanie z nimi, gdyż przykład dobry „zawsze lepiej i skuteczniej działa, niż słowa napomnienia lub kary.“ Niech więc wystrzega się „wszelkiego słowa i każdego czynu, któryby nie odpowiadał najsurowszym prawom moralności i honoru.“ Niech będzie przyzwoitym i unika okazywania zbytku, który podżega zazdrość i chciwość. Na żonie pracodawcy, jak też i na córkach jego, również ciąży obowiązek wychowawczy. „Jeżeli bowiem żona lub córka fabrykanta wspierać będzie żony robotników czynem i radą, opiekować się dziećmi, wtenczas robotnik nie będzie widział w pracodawcy twardego samoluba.“ Zbliżenie to może ułatwić pracodawcom udział ich w stowarzyszeniach szerzących oświatę i dostarczających robotnikom rozrywek, tylko niech tam występują nie w roli przełożonych, lecz jako równi z równymi.

Najwięcej różni pracodawców z najemnikami sprawa zarobku i czasu pracy. Co do pierwszego, to Fryc uznaje, że „płaca powinna być tak wysoką, aby robotnik mógł przy oszczędnem gospodarowaniu wyżyć z żoną i dziećmi, a nadto odłożyć nieco na czas bezzarobkowy, a więc winna wystarczyć nie tylko na zakupno pożywienia, na odzież i mieszkanie, ale także na opłatę rozmaitych kas i cokolwiek na niezbędną, ale pożyteczną rozrywkę.“ Co zaś do dnia roboczego, to winien on być tak krótki, żeby umożliwiał odnowienie sił i podjęcie nowej pracy, a także spełnienie obowiązków ogniska domowego.

Tylko wtedy będzie miał przedsiębiorca najemników dzielnych, zdrowych i do pracy ochoczych.

Zyg. Piet.

PORTRET MATEJKI.

Może sobie spokojnie umilknąć bałwochwalstwo dla wszystkiego, co wychodzi z pod pędzla „krakowskiego mistrza“ „mistrza Jana“ „naszego najgenialniejszego malarza“, wobec własnego jego wizerunku, który teraz oglądać można w Salonie Towarzystwa Zachęty. Wszelkie objawy zachwytu i pobożnego korzenia się „przed najwyższem objawieniem sztuki“, które nieraz przywdziewało postać istot dwuwymiarowych i budziło we francuzach obawę oślepnięcia, opadają teraz same z ramion widza, jak wytarty gałgan. Trzymał się on na plecach zgarbionych w służalcze ukłony dla artysty, który chodził cały w zapachu świętości i łaski galicyjskich panków—ale teraz jest zbyteczny. Płótno przemawia do ludzi samo, lekceważąc sobie szumne zalecenia mecenasów, i idyotyczną nieraz pomoc broszurowych objaśnień. Myśli i uczucia budzą się nawet w najnaiwniejszych profanach szczerze, naturalnie i samorzutnie i tworzą razem jeden znamienny nastrój i postawę: skupienie, które nie pozwala oderwać oczów, nie daje zejść z miejsca i skłania do nowych i coraz to nowych odwiedzin.

Jest wprost rzeczą trudną zachować przed *takim* Matejką — równowagę i umiarkowanie, zarówno w słowie mówionem jak i na papierze. I ostatecznie nie ma sensu zadawać sobie przymus i nakładać hamulec — obraz to znakomity, porywający jeden z tych co na szarych pustyniach codziennej, zwykłej twórczości wyrastają świeżem, niespodzianem, potężnem drzewem, aby wrazić się w pamięć na długie lata. Ciśnie się też na usta pytanie, czem są późniejsze, pochodzące z okresu zwyrodnienia płótna Matejki, złożone, ogromne, stłoczone w niemożliwie bogate ale chaotyczne barokko, pełne nakręcań i gwałtu nad ludźmi i końmi i w porównaniu z tym utworem. Temat prosty, niewyszukany, treść wolna od przesadnie głębo-

---

śmierci matusi, a w tę noc okropną — wzdrygnęła się — też nikt mnie nie widział. Tylem się nacierpiała... a no Bóg się mojej niedoli użalił. Co to się naszturgali... nabili po służbach, głodu żem się namarła, słowa dobrego nie dali.

Głupia Maryśka... niezdara, gułaj... Dyć i prawda, co mi się wszyćko z rąk waliło i starunku nijakiego do roboty nie przykładałam. Teraz se inaczej będę poczynać. Niech się ino pobierzemy z Marcinem i na swoje pójdę. Biedy nam nie będzie, na wyprzódki będą harować, zabiegać... Marcin nie wie, że i ja mam w węzełku w poduszce grosza trochę z zasług, bo z ojcowizny nic nie wezmę i nie pokażę się nawet w Żelistowie. Wesela sutego sprawiać nie potrza. Państwo dobre, Marcina lubią... już bez dwanaście roków wiernie im służy, pewnikiem go też czemś zapomogą. Przed Wielganocą jarmark duży w Klonowie. Pokłonimy się państwu z Marcinem, coby nam pozwolili iść i nakupimy co potrzeba. Obrazów świętych kupiemy, Pana Jezusa w koronie cierniowej, Matkę Boską i świętego Józego i św. Marcina. Wystroję se ślicznie izbę, jak u Matuski widziałam. Marcinowi kupię wstążkę czerwoną do kapelusza, a we skrzynce mam zawinięte piórko pawie, takie śliczności... mieniące. Poproszę pokojówki Marcysi, to kapelusz wstążką opasze i piórko wetknie. Dopieroj to będzie Marcinkowi galancie!

Zajęta myślami rozkosznej przyszłości szła wciąż przed siebie.

Minęła bór, co niedaleko Lisowa był, a Lisowa ani widać.

Zatrzymała się i obejrzała do koła. Śnieg przed nią, śnieg za nią i nad nią.

— Niewiadomo co... szepnęła. Ni to drogi, ni to co... Zawiało wszędy, kaj tu iść... Ej! cóżbym zas trafić nie miała. Dyć ino co nie widać Lisowa. Tylko mi dziwno, co tej figury na rozstaju nie widać. Kaj tu iść?.. O Jezu! Jeść mi się chce okrutnie, aż we wnętrzu ściska.

Przypomniała sobie, że śniadania ledwo tknęła.

— Wszyćko bez Marcinka... uśmiechnęła się radośnie na wspomnienie tego, co jej przy śniadaniu powiedział.

Krótki dzień zimowy miał się ku schyłkowi. Dziewczyna kręciła się wciąż w kółko, ani na drogę, ani do Lisowa nie mogąc trafić. Śnieg sypał coraz gęstszy, coraz częściej tumany śnieżne wirowały w powietrzu wichrem gnane. Niebo i ziemia zlały się w jednolitą, okiem nieprzebitą całość. Lęk ją ogarnął.

— Panienko Najświętsza, musi z gościńca zlazłam, bo idę i idę, a Lisowa nie widać. Pewnikiem zbłądziłam. Marności i śnieg taki!

Postąpiła znów naprzód odważnie i nagle zdało jej się, że w jednem miejscu śnieg twardszy, jakby udeptany i coś się czerni niedaleko. Serce zabiło jej trwożną nadzieją.

— Musi na drogę trafiła, bo oto figurę widać. A to ci ją zasypało... ino wierzchołek z krzyżem wygląda.

Pełna otuchy podeszła w kierunku figury.

— Dyć to nie figura, ino gałęzie jakieś.

Przy zapadającym mroku rozpoznała samotnie w polu stojącą gruszę. Wiatr, zwiał śnieg w tem miejscu i odkrył nagą ziemię. Maryśka schyliła się i ręką namacała ściernie.

— O Jezu! Dyć to szczyre pole. A kaj droga?

Stanęła, wytężyła wzrok, aby przebić tuman śniegowy i nasłuchiwać zaczęła. Głucha cisza wokoło. Najsłabszy odgłos życia nie dobiega do jej uszów.

Pusto i ciemno, tylko wicher szaleje w polu. Ściemniło się zupełnie. Dziewczyna kręciła się jak w błędnem kole, szukając drogi. Szła naprzód, znów wracała, rozkopywała śnieg rękami, aby dojrzeć, czy pod stopami zagony ma, czy drogę. Naprożno!

kich intencyj, boć przecie zdawien dawna, malarze robili własne swe wizerunki i tacy jak Rafael, Rembrandt, Leonardo da Vinci i tysiąc innych dowodem. Jest to zwyczaj utarty, który dla nieportrecisty bywa często orzechem trudnym do zgryzienia a rzadko kiedy przyczynia się do ukoronowania zawodu. Dość rozejrzeć się po nieudolnych najczęściej wizerunkach, których galerya cała pokutuje pod sufitem Zachęty, oddana na łup muchom i pająkom. Z Matejką dzieje się wprost przeciwnie — krzywdzi on poprostu dawne swoje choć nie wszystkie obrazy, albowiem każe o nich zapomnieć, jak się na widok promieni słońca zapomina o poprzedniej mgle lub ciemności. Tem światłem jest portret, o którym mowa, najniewątpliwiej — jest i czemś więcej, bo płodem rzetelnego natchnienia.

Mimo niezliczone przesądy, fałsze i błędy, Matejko miał zawsze pewien rys, przypominający Michała Anioła, groźny rozmach duszy, rzucającej się drapieżnie i zuchwale na wielkie zadania. Mimo też cały swój charakter późno-renesansowy, zawadza o tę ponurą wyrazistość, jaką podziwiamy w rzeźbionych portretach rzymskich, dajmy na to Karakalli lub Nervy. Jego postacie nawet gdy wyrastały z zadów końskich jak w *Joannie D'Arc* lub przedziurawiały się wzajemnie niby figury na odpustowych malowankach, tchnęły potężną rasą, życiem tak indywidualnem i dobitnem, jakby przeznaczone były na ilustracye dla jakiejś książki z zakresu dziejowej fizyognomiki. Pod tym względem był on zawsze jedynym, niezrównanym, był mistrzem duchowego wyrazu twarzy i posiadaczem wielkiego stylu, miał na tym punkcie energię, która graniczyła z manierą, ale bądź co bądź znamionowała ustrój gwałtowny, dosadny, o *patosie* głębokim, całkiem mimowolnym i pochłaniającym całą istotę.

Wszystkie te rysy typu herkulicznego, we własnoręcznej podobiznie Matejki zostały spotęgowane. Jego siła napięta i na poły tylko wyzwolona w płótnach ostatnich tutaj znalazła jakgdyby ujście. Starzec, który przed nami siedzi na starym, pluszem obitym fotelu to niebywale trafny samorozbiór poety, który tak samo traktuje malarstwo, jak Wagner muzykę — jako pachołka w usługach idei, przekonywającej lub nie, ale zawsze idei śmiałej, szerokiej i trochę cudacznej. Nie jest to żadną miarą twarz artysty z końca wieku, w rodzaju Corota lub Courbeta, którzy cierpieli na jawny pismowstręt i na widok kałamarza lub książki wpadali w prawdziwy, nie udany, szał. Pokrewnych mu rodzajem można by znaleźć prędzej we wczesnem Odrodzeniu włoskiem lub u niemców, w czasach Dürera i Holbeina. Matejko przedstawia i pewnie rozumie siebie pod postacią mędrca, myśliciela, wieszcza, w której góruje żywioł ciężkiej pracy i borykań ze światem lub własnemi myślami, a na plan drugi schodzą oznaki długiego przymierza z pędzlem, paletą, fantazyą, rozrzuceniem i tem wszystkiem, co za swoją nieodzowną maskę uważają do dziś jeszcze artyści. I zaręczyć by można, że kto nie zna go albo nie pojmuje, z pewnością na widok portretu poweźmie domysł, iż to jaki uczony historyk albo filozof i dopiero przez symbole malarskie, całkiem zewnętrzne i formalne, wywiedziony zostanie z błędu. Cała swoboda polega tu na ubiorze z rozmysłu niewykwintnym, na bezładzie siwych kosmyków brody i czupryny i na wytartych fałdach fotelu. One zlekka wskazują, że to nie jegomość, należący do jednej z urzędowych klas porządnych całą gębą obywateli, ale ktoś, co w swej pracowni a więc w swojem państwie jest samowładnym królem.

Tylko krwawy mozół może się tak na obliczu wypiętnować. Tylko wewnętrzny żar jest w stanie takie płomienne odblaski rzucać na czarne źrenice. Tylko atletyczna praca może tak wysuszyć tłuszcz i całą okrągłość a zostawić samo mięśnie i żyły. Taka głowa równa się epopei, w której szaleją burze i gniewy wplecionego w koło Iksyona. Bohater jej, suchy, cierpki, prawie gromiący swem wejrzeniem, nie ma chyba w swych żyłach krwi błękitnej, bo jego rysy i sam odcień siwizny trącą czemś nieco gminnem, nawskroś mieszczańskiem. Sprawia on raczej efekt, jakgdyby wyrósł z nizin własną zasługą, w której z dziwacznym talentem szedł w parze zawzięty upór, zgryźliwa, nieżyczliwa innym pewność siebie. Jest to oschły zrzęda o twardych kościach i twardszym jeszcze wzroku, który zapewne lubi rozkazywać i umie mścić się jak impetyczny ojciec Kordelii, z tą różnicą, że prawdopodobnie zamknął się we własnym duchu, trawi się, zżyma, podnieca i zaciska pięście. Nie wiem, czy takim w rzeczy samej a nie innym wydaje się Matejko swemu otoczeniu bliższemu, gdyż zamało dochodzi nas o nim opowieści, ale nie sądzę żebym się mylił, bo w portrecie nie ma ani jednego szczegółu, dającego się tłomaczyć niepewnie albo dwuznacznie. I właśnie na tej olbrzymiej wyrazistości, na sile wewnętrznego skrystalizowania się i na bogactwie charakterystyki jego wartość i urok polegają.

Artysta robił swój portret z namaszczeniem, to aż nadto jasne. Ma się on za półboga, takim się chciał ludziom objawić i w tym celu trochę się upiększył. Oczywiście może to być śmieszne lub nie usprawiedliwione lub dzikie, ale jest w pierwszej linii bardzo znamienne, a więc ciekawe, a powtóre chęć stała się ciałem, zamiar się udał i to „fakt najważniejszy, a bodaj czy i nie tytuł do owej właśnie zarozumiałości. Bo co od początku do końca uderza w tem malowidle, to najczystszy w świecie magnetyzm, siła przyciągania. Ten pan wniósł do galeryi obrazów pewien niepokój, czujesz jego spojrzenie, gdzie się obrócisz. Nakazuje on uszanowanie, zmusza wpatrywać się w siebie i — podziwiać, zarówno swój wyraz jak i samą technikę obrazu. Gdyż i o niej śmiało rzec można, że jest całkiem wyjątkową i była w warsztacie przedmiotem osobliwej pieczy. Poza jest pewną, naturalną i wygodną jak na takiego modela przystało. Malarz jak gdyby i sam wpatrywał się w siebie uporczywie i przenikliwie. A wykonanie szczegółów, miąższość tużurka, cienie padające od jego poły, i nadewszystko fotel są wprost zdumiewające. Na tem marnem, wypłowiałem i wypełzłem obiciu marnego sprzętu można się nauczyć wielu rzeczy. W ogólnym kolorycie przeważają tony brunatne i rdzawe coraz częściej u Matejki, ale tony miejscowe jak np. obu rąk i twarzy są silne, jędrne, tak samo jak umyślnie szorstką i twardą jest ich skóra. Przy dokładniejszych oględzinach mogą niektóre drobiazgi razić, np. niepomierna wielkość środkowego palca prawej dłoni, który jest blizko dwa razy dłuższym od wskazującego, ale — bez *lapsusów* Matejko nie byłby sobą. Zresztą jeśli gdzie pedanterya staje się bezsilna i niedorzeczna, to właśnie tutaj, wobec portretu, który jest skończonym obrazem, zrozumiałym w swem przeduchowieniu blizkiem bolesnego dramatu dla każdego, co umie patrzyć i czuć, choćby nawet przybył z drugiego końca świata i tyle wiedział o Matejce, co my o twórcach kanałów na Marsie.

Cezary Jelenta.

Niezwalczone znużenie ogarniać ją zaczęło. Spać jej się zachciało, siadła odpocząć. Zziębła tak bardzo, że przestała już odczuwać wrażenie zimna. Zastąpiło je odrętwienie. Okrutna tęskność ścisnęła jej serce.

— Pewnikiem zamrę już tu — myślała. Zaczęła sobie przypominać wszystkie wypadki zmarznięcia, o których w domu i od ludzi słyszała.

Już jej nie znaleźć drogi. Nie wróci już do państwa, do Marcina, zostanie tu w polu. Biały tuman ją nakryje i będzie se pod nim leżeć może do wiosny, jak jej chrzestny, co zmarzł, wracając z lekarstwem dla swojej kobiety do domu.

Marcin tam wygląda a wygląda za wrota. Co też w kuchni robią? Łuczywo trzaska na kominie, ogień się pali taki jaśniutki, kucharka wysypuje kartofle do miski, parobcy i dziewki stół obsiedli. Tylko jej dziwno, czemu jej tam z niemi niema. Nie może sobie przypomnieć: co ona tu robi w polu, w nocy, sama jedna... a oni w ciepłej kuchni wieczerzę sobie jedzą. Już wie, państwo ją posłali do młodej pani.

— Ha! toć pójdę, kiej kazali, ino się krzynkę przespię...

Skłoniła głowę na piersi i przymknęła oczy. Wicher zahulał z nową gwałtownością i snop lodowych iskier cisnął w twarz dziewczynie. Ocknęła się. Gdzie ona jest, o Jezu Nazareński! Toć sama, w pustem polu i żywej duszy przy niej. A tu noc czarna, śnieg wieje i wieje. Ani drogi, ani wsi, toć ona tu zmarznie.

Wtem... włosy jeżem stanęły jej na głowie, pot zimny wystąpił na skronie. Przypomniała sobie, że w taką noc duszyczki nie mowląt, co pomarły niechrzczone, ciągną korowodem w powietrzu i zawodzą żałośnie. W jękliwych poświstach wiatru zdało jej się, że słyszy słabe kwilenie dzieciny. Zerwała się, trwogą bezmierną zdjęta i biedz poczęła. Zapadała po pas, czasem po szyję w zaspy śniegowe zrywała się i znów biegła.

— Oczy miało Walka — szeptała bezprzytomna. Oczy miało Walka... To za matusię i za Jagnę i za nas wszyćkich... Jezu Chryste, zbaw grzyszną duszę moją.

Zwyciężona śmiertelnem znużeniem osunęła się na śnieg. Wtem wiatr przyniósł ku niej wyraźne echo szczekania psów.

— O Jezu! co to?

Podniosła z trudnością głowę i nasłuchiwać zaczęła. Toć wieś blizko i ludzie... Ostatnim wysiłkiem woli dźwignęła się na nogi, postąpiła kilka kroków, kolana ugięły się pod nią.

— Siądę se trochę wprzódy i odpocznę, bobym nie doszła.

Usiadła znów na śniegu. Jak jej dobrze! Rozkoszne ciepło ją objęło, przed oczami migają iskierki, takie jasne, błyszczące.

Głowa dziewczyny opadała na ramię coraz niżej. Omdlenie, z którem było jej dziwnie miło, obejmowało ją w uścisk łagodny.

Straciła świadomość.

Wtem jasność dziwna rozjaśniła splątane myśli. Wyciągnęła skostniałe ręce ku niebu i uśmiechnęła się słodko.

— Matuś, matuś, przyśliśta przecie. A dajcież mi moje dzieciątko, a żywo. Musi głodne. Robaczku mój — szeptała sama, tuląc do piersi trzymane zawiniątko, robaczku mój... Siądźcie se matuś kole mnie. Jakie to rączuchny ma maluchne, nikiej Jezusek na obrazku.

Szept słabł, aż ustał zupełnie.

Wicher zimowy szalał dalej po śnieżnej płaszczyźnie.

* *
*

Nazajutrz znaleziono Maryśkę nieżywą. Twarz miała słodkim uśmiechem rozjaśnioną, w rękach założonych na krzyż ściskała zawiniątko, które miała z sobą.

KONIEC.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WARUNKI NOWOŻYTNEGO PRZEDSIĘBIORSTWA.

Paryż 19 lutego.

Wyrokiem surowym, skazującym Ferdynanda Lessepsa, tego, którym niedawno Francya pyszniła się jako swym „wielkim synem,“ na pięć lat hańbiącego więzienia, zakończył się długi i pod wieloma względami bardzo charakterystyczny proces. W rozwoju kapitalizmu, zastępującego najpierw w produkcyi, a następnie i we władzy społecznej drobne mieszczaństwo, trzy dadzą się odróżnić fazy. W pierwszej posiada on cechę każdej nowej, na widownię społeczną występującej klasy: jest przedstawicielem mniej lub więcej uświadomionych interesów całego społeczeństwa i będących jednocześnie jego interesami klasowymi. Jeżeli go, jako klasę, uosobimy, to posiada on tym sposobem tak subjektywną, jak objektywną, tak indywidualną, jak niejako gatunkową racyę istnienia. Stąd pochodzi, że oprócz klasy, która właśnie tę społeczną racyę istnienia traci, która najkorzystniejszą metodę produkcyi reprezentować przestaje — mianowicie szlachty feodalnej — całe społeczeństwo wita jego narodziny z zadowoleniem, a jednostki, w których wolę i działalność owych znikających się wcielają, otacza aureolą zasług społecznych. Drobne mieszczaństwo, które właśnie do przekształcenia się na wielki kapitalizm jest przeznaczone, widząc w życiu tych ze swego łona, co zdążyli zrzucić już skorupę powolnej poczwarki dla złotem i dostatkami lśniących skrzydeł motyla, obraz i podobieństwo swej własnej przyszłości, z całą życzliwością na nich patrzy i za przykład ich swym dzieciom stawia: typami, ku którym etyczne sympatye ogółu się zwracają, są jakiś Eli Makower lub inny „rycerz pierwotnej akumulacyi,“ a stary Rzecki (*Lalka*) z podziwem i uwielbieniem patrzy na Wokulskiego; nawet robotnik, pewny — do czasu — pracy i chleba, szlachetnego „Właściciela kuźnic“ obiera swym właścicielem prawodawczym. Ale powoli położenie się zmienia: w miarę tego, jak przed domem, w którym odbywa się uczta, coraz więcej gości z utęsknieniem na otwarcie drzwi oczekuje, ściany domu, wbrew ideałowi Wincentego Pola, zwężać się zaczynają; konkurencya wraz z nędzą, względną nadprodukcyą i przesileniami nietylko większej liczbie drobnych mieszczan nie pozwala się przedziergnąć w wielkich kapitalistów, ale przeciwnie, z grona ucztujących niejednego za drzwi wyrzuca, a zawieszonych w oczekiwaniu „spiessbürgerów“ spycha w drugą ostateczność, w szeregi proletaryatu. Krwawy ten zawód najdroższych marzeń i oczekiwań wyradza stopniowo głęboką nienawiść starego handlarza artystycznych fajek z „Wielkiego magazynu“ Zoli do szczęśliwego właściciela milionowego zakładu Moureta, a przy odpowiednich warunkach politycznych odbija się w walce klas, a właściwie partyj, w radykalizmie, antisemityzmie, „chrześciańskim“ socyalizmie, nieświadomym bulanżyzmie itd. Dopóki kapitalizm nie spełnił swej roli historycznej, dopóki, przynajmniej w społeczeństwach najwcześniej się rozwijających, a więc niemogących podlegać zewnętrznym wpływom, nie zrujnował zupełnie dawnej, indywidualnej formy produkowania i nie przygotował gruntu do zniknięcia odpowiedniej formy posiadania, dotąd pochód jego jest zwycięzki i niepowstrzymany; z chwilą jednak, gdy doszedł do tego punktu, nawskróś dynamiczny i kontrastowy jego charakter nie pozwala mu się na nim zatrzymać dłużej: siły, przezeń z koniecznością żywiołową wytworzone, z równą koniecznością dalej jego dzieło reformacyjne prowadzą, a więc przeciw niemu, chcącemu swe zdobycze uwiecznić, wystąpić muszą. Tu się zaczyna okres trzeci: upadek.

Ale ten właśnie brak momentu etycznego, brak dłuższej stacyi rozwojowej, podczas której spokojnie rozgospodarować by się można było, jak to np. uczyniły pierwotna gmina i feodalizm, uniemożliwia kapitalizmowi przystosowanie do swoich potrzeb i warunków prawno-etycznych systemu społecznego. Prawo i moralność, mające za punkt wyjścia oddzielną jednostkę i jednostkę i jej stosunek do innych również oddzielnie branych, pozostają obowiązującemi dla kapitalizmu nietylko w pierwszej dobie jego rozwoju, w której te ramy jeszcze dlań nie są za ciasne, lecz i nadal, gdy zaostrzająca się walka konkurencyjna i rozszerzenie sfery działalności (np. przez kolonizacyę) niemożebnem czyni trzymanie się przepisów codziennej uczciwości, właściwej małomiasteczkowemu handlarzowi, dopóki jeszcze jego pobyt nie jest zagrożony, gdy właściwie naokoło, w całem społeczeństwie, przepisy te, wraz z odnośnymi paragrafami kodeksu, stały się już jedynie „kłamstwem konwencyonalnem.“ Niemniej paragrafy kodeksu istnieć nie przestają, na ich straży stoi władza polityczna i tam, gdzie jeszcze ostatecznie zwycięztwo na stronę kapitalizmu się nie przechyliło, gdzie więc drobne mieszczaństwo nieraz rządowi ton nadawać może, korzysta ono przy sposobności ze swej władzy, aby okrutnie zemścić się nad tymi, co tradycyjne przepisy, z którymi niegdyś tak dobrze było, z konieczności przestąpili. W tym wypadku znajduje się Francya, kodeksem Napoleona przesiąknięta, widownia najzaciętszej może obecnie walki klasowej między drobną i wielką burżuazyą.

Każda z naszkicowanych tu faz rozwoju kapitalizmu, nacechowana pewnym stanem stosunków ekonomicznych, wywiera swój wpływ na duchowość ludzi, żyjących wśród nich i czynnie lub biernie udział w ich ruchu przyjmujących. Dla nas ciekawą jest właśnie druga faza, ta, w której miejsca dla wszystkich przy kapitalistycznej uczcie braknąć zaczyna i w której go coraz więcej po za granicami ojczyzny szukać trzeba, walcząc jednocześnie o punkt oparcia w samej ojczyźnie. Jej to odpowiada, przez nią, można powiedzieć, wykarmiony i wychowany jest charakter Ferdynanda Lessepsa i jego adjutantów, a przynajmniej wybitnej ich części. Aby ten charakter zrozumieć, należy przyjrzeć się duchowej naturze ludzi, przychodzących na świat z czynnym i niespokojnym temperamentem, któremu wypada objawiać się czynnie w epoce, pod pewnymi względami z rozpatrywaną przez nas w tej chwili analogicznej, w takiej mianowicie, gdy walka o byt wewnątrz społeczeństwa lub zewnątrz jego dochodzi do wysokiego stopnia natężenia. Epoki takie wydają, stosownie do swych własności, to skandynawskich wikingów, to Ksenofontów, Poliorcetesów i innych wodzów najemników greckich, to condottierów, to Jermaków Tymofieiczów, to wreszcie Ryszarda Lwie serce lub Pizarra i Korteza. Ogólną cechą tych ludzi, oprócz niepohamowanej żądzy czynu, jest egoizm, podporządkowany jednak ambicyi, i to szczęśliwe położenie, że są przedstawicielami niezbędnej potrzeby społecznej lub siły, która tę potrzebę zaspokaja; to właśnie często nieuświadomione poczucie, że mają oni niezwyciężoną moc konieczności za sobą, daje im śmiałość, wytrwałość i bezwzględność. Epoka, w której żyją i rodzaj potrzeb, który reprezentują, określają cechy każdego z nich; typ, właściwy kapitalistycznemu condottieryzmowi, a nazwany przez jednego z adwokatów Lessepsa „manieur d'argent,“ mamy w bohaterze „Pieniądza“ Zoli, Saccardzie.

Twórca kanału Suezkiego porównany został przez swego adwokata Barboux do rycerzy krzyżowych; nie podzielając bezwzględnego uwielbienia bogatego adwokata dla bogatego klienta, możemy jednak śmiało przyznać mu miano wielkiego krzyżowca krucyat pieniężnych. Posiada on wszystkie cechy rodzajowe pierwszych wodzów wypraw średniowiecznych wraz z cechami gatunkowemi Saccarda: fanatyczną wiarę w swą gwiazdę, olbrzymi wpływ na otoczenie, szaloną wytrwałość, z nieprzebieraniem w środkach i z żądzą władzy, w której tkwi, ale nie przeważa żądza bogactwa. „Gdy wódz wygrał jedną bitwę, nie może nie przyjąć drugiej“ — mówi na zorganizowanym przez siebie kongresie w r. 1882, a podczas ryzykownych emisyj lat następnych dodaje: „kto celu pragnie, zgadza się na środki.“ Jak w baladzie „bohater Karlomana,“ aby po bitwie Roncevalskiej otrzymać wolność od króla maurów, tak on, aby ostatecznie skłonić wicekróla Egiptu do przyznania mu firmanu z pozwoleniem przekopania międzymorza, decyduje się na zuchwały skok, w którym o mało karku nie skręcił; gdy cesarzowa otwiera kanał Suezki, czyni on więcej, niż Raleigh, rzucający płaszcz swój pod nogi Wiktoryi: każe wysadzić w powietrze fregatę, która wejście do kanału zaparła. Niezmordowany jest mimo swej starości, w tem, co charakterowi jego najwięcej odpowiada w propagandzie i reklamie. Z mowami i odczytami objeżdża zimą i latem Francyę, z całą rodziną odbywa osobiście podróż do Panamy, mimo niebezpiecznego klimatu, jednym giestem tysiącom białych i czarnych podwładnych rozkazuje, a na tych, co go bliżej znają, wywiera wpływ magiczny. Człowiek ten żyje — pamiętajmy — w epoce, w której treścią życia społecznego jest pieniądz, w której, przytaczam znów charakterystyczne w swym nieświadomym cynizmie słowa adwokata—„dzielny podróżnik po afrykańskiej pustyni i sam nasz zapał, gdy jego opowieść słyszymy, przygotowują drogę dla kompanii finansowych.“ Finansową też jest jego działalność; ale też nikt zdolniejszy nie jest od niego do tej działalności, w pewnym okresie postępowej i niezbędnej. Literalnie przy tem drwi on sobie, a z nim i całe jego otoczenie, któremu ton nadaje, z tych przepisów kodeksu i moralności, które w ubiegłej lub kończącej żywot epoce wytworzone, nie odpowiadają już celom jego, nie mogą objąć działania tych sił rozwojowych, którym on, nieświadomie może, służy...

Z pewnemi ilościowemi różnicami, taką jest ogólna charakterystyka wielkiego nowożytnego przedsiębiorcy. Rzućmy teraz okiem na otoczenie, w którem mu działać wypada. Zagrzęźniemy w nieprzebranem błocie, na powierzchni gładkiem, lecz rojącem się wewnątrz masą walczących ze sobą istot, produktów cuchnącego rozkładu pewnej formy, przez którą społeczeństwo przechodzi. (D. n.).

Kazimierz Krauz.

PAMIĘTNIK.

Wartość analiz.

Kilka tygodni temu w pismach rolniczych narobił wrzawy zatarg pomiędzy pewną fabryką nawozów sztucznych w Sosnowicach a kierownikiem stacyi rozbiorowej w Wrocławiu, który uznał i ogłosił wyroby tej fabryki za sfałszowane. Wywiązała się polemika, następnie proces, a dalszy ciąg sporu tłucze się jeszcze po rozmaitych

kątach. Jak zwykle w takich wypadkach, z obroną pokrzywdzonego wystąpili chemicy. Powiadamy: jak zwykle, gdyż jest to historya powtarzająca się ciągle i z jednakim skutkiem. Jeżeli spożywca na podstawie dokonanego rozbioru w jakiejś pracowni zrobi najdrobniejszy zarzut przeciwko częściom składowym produktu, wytwórca natychmiast uzyskuje najprzychylniejsze świadectwo z innej pracowni analitycznej i zadaje kłam oskarżeniu. Naturalnie publiczność nie wie, co sądzić o kłótni, o tych wprost przeciwnych wyrokach „rozbiorów naukowych“ i rzadko uprzytomnia sobie bardzo naturalny fakt, że dwie pracownie mogą pod tą samą nazwą i z tego samego źródła badać dwie rzeczy całkiem odmienne, że fabrykant co innego sprzedał spożywcy, a co innego dał do analizy swemu chemikowi. Czy tak było z nawozami sosnowickimi, nie możemy orzec, ale że tak się dzieje ustawicznie i że tym sposobem odgrywa się wielka komedya przemysłowo-handlowa, temu nikt nie zaprzeczy. Przemysłowiec, przygotowawszy produkt dobry, przesyła go do rozbioru i uzyskawszy doskonałe świadectwa, zamieszcza je w swych cennikach i rozpoczyna puszczać w obieg fałszerstwa. Przyłapany albo się zasłania tym dokumentem, albo go potwierdza ponownem doświadczeniem, do którego dostarcza próby, odpowiadające wszelkim warunkom. Ta niesumienna zabawka w chowanego kosztem oszukiwanych spożywców trwać będzie dopóty, dopóki kontrola wartości wyrobów chemicznych pozostanie w ręku fabrykantów i ich chemików. Dopiero gdy ona przejdzie do instytucyj i organów publicznych, na podobieństwo wykonywanej nad artykułami spożywczymi, zapobiegnie w znacznej części nadużyciom. Wystawmy sobie, że piekarze i mleczarze, zasłoniwszy się certyfikatem prywatnej pracowni chemicznej, zaczną nam sprzedawać pieczywo i mleko; co my będziemy musieli jeść! Tymczasem gdy wiedzą, że znienacka może ich produkty zrewidować władza sanitarna, strzegą się fałszerstw. Otóż podobnym *niespodziewanym* rewizyom ulegać powinny wszystkie wyroby ze strony chemicznej. Przypuśćmy tedy, że do jakiejś fabryki, składu lub sklepu wchodzi urzędowy przedstawiciel pracowni rozbiorowej, wybiera trafem paczkę farb lub woreczek nawozu sztucznego, opieczętowywa w obecności kupca i świadków i odsyła do rozbioru. Jeżeli badanie da rezultat ujemny, fałszerz powinien być ogłoszony i pociągnięty do odpowiedzialności; w przeciwnym razie, jeśli ono sprawdzi zupełną rzetelność wyrobu, jego posiadacz powinien być również polecony uwadze ogólnej. Gdyby on zaś sam w swych cennikach powołał się na *taką* analizę, miałby prawo do zupełnej ufności spożywców. Ale gdy dziś usiłuje tę ufność zyskać obstalowanemi przez się poręczeniami chemików, nie budzi w nas żadnej wiary. Trudno przypuścić, ażeby fabrykanci nawet we własnym interesie postarali się o takie bezinteresowne dowody; ponieważ jednak konsumenci muszą bronić swoich interesów, przeto nie pozostaje im nic innego, jak sprawdzać kupowane towary. Niech nabywcy większych ilości nawozu sztucznego, herbaty, nasion itd. oddają próby do analizy, niech dochodzą sądownie oszustw, niech ogłaszają w pismach odkryte nadużycia, a wtedy fałszerze będą musieli wystrzegać się swych praktyk. Potulnych baranów strzydz nie przestaną — nie ma się co łudzić i na „sumienie“ rachować. *W.*

Najlepszy interes.

Jedna tylko dziedzina spekulacyi pozostaje dziś wolna od wszelkich wątpliwości i niepowodzeń — lombard. Kto tę pompkę założy, zawsze nią wydobędzie pewne i duże zyski. Jak dalece jest to geszeft korzystny i smaczny, dość powiedzieć, że go wydzierają z rąk najmizerniejszym Ickom i Srulom — arystokraci. I to nie byle jacy — najczystszej niebieskości. Takzwane „Warszawskie Towarzystwo akcyjne pod zastaw ruchomości,“ krócej mówiąc, lombard prywatny należy w przeważnej części do wysokich herbów. Przed kilku dniami, zasłoniwszy wstydliwych członków, zdał on sprawę ze swej działalności w roku ubiegłym. Obraca poważnym kapitałem 800,000, składającym się z 16,000 udziałów po 500 rs. Pożyczek w kantorze głównym i w filiach (jedna w Łodzi) udzielono na sumę 1,512,472 rs., a łącznie z pozostałością fantów zaprzeszłorocznych — 2,341,079. To cyfra wymowna, a teraz najciekawsza. Ogólny zysk wynosił 179,936 rs. Po strąceniu (strącanie w takich rachunkach jest bardzo szczodre i służy do zamaskowania części zysków) na administracyę, roczne wydatki, umorzenie sprzętów, kapitał rezerwowy i t. d. aż *96,061 rs.*, pozostało 83,875 rozdzielono między uczestników po 55 rs. od akcyi I seryi a 48 k. 12—II, czyli około 10%. No i cóż, czy to nie najlepszy interes, w którym przy 179,936 rs. zysku można *strącić* na różne wydatki 96,061 i jeszcze dostać 10% dywidendy? *W.*

Nic nowego.

Nie ma wielkiej sprawy europejskiej, w której by się nasz brat nie zaplątał. A więc i w panamskiej znalazło się kilku. *Przegląd techniczny* na podstawie *Industrie electrique* wyjaśnia, że słynny oszust K. Hertz, odznaczony legią honorową za rozmaite prace naukowe i wynalazki, pracował tylko nad szachrajstwami a wynalazł jedynie sposób wyzyskiwania cudzych pomysłów. Dostarczała mu ich cała gromada ludzi zdolnych i ukrytych, a między innymi niejaki Marynowicz i znany u nas, niegdyś docent lwowski Abakanowicz. Zastanawiając się nad tym faktem, pismo francuskie robi filozoficzną uwagę: „W wieku obecnym bywa niekiedy korzystniej handlować nauką, niż ją tworzyć.“ Prawda, tylko nie „w wieku obecnym“ i nie „niekiedy,“ ale zawsze. Żaden wielki myśliciel, odkrywca, wynalazca nie zyska ze swej pracy tyle, ile ci, którzy ją sprzedawali. A ponieważ tak było od początku świata, więc K. Hertz nie jest wcale wyjątkowym handlarzem pracy geniuszu, zagarniającym dla siebie lwią część zysków. Zadziwimy się, gdy będzie inaczej.

Clownizm naukowy.

Ani nam, ani wam, czytelnicy, z pewnością nie na tem nie zależy, ażeby przyczyną cholery był konieczniе laseсznik przecinkowy — jak twierdą dziś prawie wszyscy, a nie nerwy—jak utrzymuje Herkules, ukręcający łby wszystkim hydrom medycyny, p. Ochorowicz. Jeżeli więc pierwsi bardziej przemawiają do naszego przekonania, niż drugi, to przyczyna nie leży chyba ani w uporze, ani w szczególnem upodobaniu do bakteryi Kocha, lecz w różnicy traktowania rzeczy. P. Och. łatając swoje wywody naukowe doniesieniami reporterskiemi, które zwykle, chwytane z pośpiechem i niekontrolowane należycie, tworzą szereg sprzeczności a czasem bredni, wydrwiwając „radcę Kocha“ i wszystkich wreszcie badaczów, którzy nie puścili wody na młyn ich pogromcy, potępiając i ośmieszając wszelkie środki dezinfekcyjne, stosowane przeciw epidemii i wywodząc ją z nerwów, daje dowód nie tyle wielkiej odwagi, ile wielkiej lekkomyślności. Uznać siebie bez żadnych studyów klinicznych, bez żadnej praktyki, bez doświadczeń dokonanych w walce z jakąś wielką epidemią, ot tak, wyssawszy mądrość z palca, paru książek i dedukcyj, uznać siebie za mistrza nad mistrzami, za reformatora olbrzymiej gałęzi wiedzy, którą geniusz ludzki od tysięców lat rozwijał, ogłosić największych badaczów za śmiesznych głupców i dyktować im własną ewangelię, wreszcie przyjąć na się odpowiedzialność za skutki odebrania ludziom tych środków ratunku, jakich dotąd używali, na to potrzeba mieć duży zapas cyrkowego humoru. P. Och. drukuje swoją filipikę przeciw medycynie i jej sposobie tłumienia cholery w *Kuryerze warszawskim*, piśmie, czytanem przeważnie przez bezkrytyczne masy, które może za miesiąc w tym samym *Kuryerze* znajdą zalecone przepisy i rady: o używaniu kwasu karbolowego, sublimatu i wapna, o wystrzeganiu się picia wody nieprzegotowanej i jedzenia surowizn, o wzywaniu lekarzy (którzy według p. O. są skończonymi nieukami) zaraz w początku choroby, o powstrzymywaniu rozwoju laseсznika przecinkowego itd. Pomyślmy teraz, co się zrobi w głowach sklepikarzów, rzemieślników, szwaczek itp. i czy tych ludzi w razie wybuchu epidemii będzie można utrzymać w jakichś karbach hygienicznych? Doprawdy byłoby daleko właściwiej, ażeby ten popis kpin odbył się gdzieindziej, niż w łamach popularnego dziennika. *P.*

Plotkarstwo warszawskie.

Aż kilka pism uruchomiło swoich Katonów dla skarcenia bezimiennych języków, które w ostatnich czasach wysnuły kilka skandalicznych bajek, a jedną z nich omotały proces Brzezickiej. Nie przeczymy, że te rozmaite a najczęściej skandaliczne legendy są robotą paskudną i nieraz dotkliwie krzywdzącą ludzi niewinnych, sądzimy wszakże, że cała wyprawa była strzelaniem z armat do wróbli i to źle celowanem. Naprzód bowiem Warszawa nie stanowi pod tym względem złego wyjątku śród miast wielkich, przeciwnie, jej potwarcza wyobraźnia pracuje stosunkowo bardzo mało, skromnie. Pomyślmy bowiem, ile najohydniejszych plotek wyrabia codziennie Berlin, Wiedeń lub Paryż, plotek, które nietylko przelatują z ust do ust, ale są ogłaszane w najbardziej rozpowszechnionych dziennikach. Co u nas jeszcze cicho się mówi, to tam już się bez osłonek drukuje. Od tych zaś oszczerstw, pozbawionych cienia prawdy, nie są wolne nawet osoby na najwyższych stanowiskach. Powtóre, zauważyć łatwo, że u nas zwykle najobficiej wyrastają plotkarskie zmyślenia wtedy, kiedy ich przedmiot zostaje osłonięty milczeniem. Prasa nasza wiele faktów, które powinnaby wyświetlić, usiłuje zataić a przynajmniej odciągnąć od nich uwagę publiczną; cóż dziwnego, że opinia ogółu, pozbawiona wyjaśnień prawdziwych, puszcza się na improwizacye, które z początku krążą jako domysły a potem jako pewne wiadomości? Tak np. niech tylko ktoś z klasy „wyższej“ dopuści się występku, można być pewnym, że dzienniki rzucą na jego nagość moralną płaszcz, który dopiero zdejmie z niej proces sądowy. A wtedy zwykle już sprawa jest zasnuta pajęczyną plotek. Zamiast więc ten chwast wyrywać z gniewem, lepiej nie uprawiać dlań gruntu.

Dla czego się nie udała?

Świetnie zapowiadająca się w programie wystawa wyrobów skórzanych nie przyszła do skutku, pomimo wielkich usiłowań jej komitetu i zarządu Muzeum. Przy badaniu przyczyn niepowodzenia odkryto kilka faktów wielce charakterystycznych: Jedni, zapytani o niechęć odpowiedzieli, że im na przeszkodzie stanął brak kapitału zakładowego i gotówki. Nie są oni tak silni ekonomicznie, ażeby mogli na dłuższy okres uwięzić pewną sumę w przedmiotach wystawowych, tembardziej, że nie są pewni, czy wyroby te znajdą nabywców na wystawie; praktyka bowiem poprzednio dowiodła, że nieraz po długiem wyczekiwaniu zbywano towar ze stratą. „Chciałem dać na wystawę coś nadzwyczajnego, coś tak pięknego, że pobiłbym wszystkich swoich współzawodników. Nie mam jednak tyle pieniędzy, więc wolę nie nie wysta-

wiać.“ Tak się tłomaczą drudzy. Jeszcze inni (tych podobno najwięcej) nie mogą myśleć o popisie wystawowym, gdyż obarczeni zamówieniami, ledwie podołać mogą pracy. Wreszcie jeszcze jedna grupa tłómaczyła się tem, że rozwinięto zbyt słabą agitacyę, że za późno zaczęto umieszczać wiadomości w pismach o zamierzonem otwarciu wystawy. Ta drobna garstka usprawiedliwień wybornie charakteryzuje cały stan rzeczy. Chciano urządzić wystawę zanadto specyalną, nie zbadawszy wprzódy gruntu. Komitet naraził się na znaczne straty, mitręgę i kompromitacyę; dopiero po doznanym zawodzie przekonał się, że wystawa nikomu nie jest potrzebna, że wszystkim bez niej jest bardzo dobrze. Największa liczba szczęśliwych nie może o niej myśleć, bo nawał zamówień na to nie pozwala, inni boją się, ażeby towar, w który się grosz włożyło, nie czekał zbyt długo na nabywcę. Ci, jak również marzący o nadzwyczajnych okazach, którymi pobiliby przeciwników, zdradzają brak najsłabszego pojęcia o istotnem znaczeniu wystawy. Wszak tu chodzi nie o popis, nie o cacka, którym publiczność przyglądałaby się z podziwem, lecz o trwałe, dobre i niedrogie przedmioty użytku codziennego, które za pośrednictwem wystawy zjednałyby sobie szersze koło nabywców. Zapewne takie zadanie miały także na celu komitety: wystawowy i — Muzeum przemysłu i rolnictwa. Zaznaczyło się tu jednak znamienne i częste u nas zjawisko: budowanie gmachu bez rusztowań. To też nie sięgnął on nie tylko nad pułap sali Muzeum, ale nawet ponad wzrost budowniczych. Może to będzie na przyszłość wskazówką dla organizatorów, że zanim się stworzy wystawę, należy zbadać usposobienie przyszłych jej uczestników, rozedrzeć zasłony przesądów i uprzedzeń, jasno nakreślić program i przedewszystkiem wskazać stronę praktyczną przedsięwzięcia. *Dr.*

Wszechstronne korzyści.

Na kolejach, które zyskały sobie sławę oszczędnych, można widzieć ciekawe zjawisko: Pociąg w nocy przedstawia się jako olbrzymia kometa, ciągnąca za sobą długą ognistą grzywę. Z okna wagonu znudzony monotonną jazdą podróżny, godzinami całemi wpatruje się w tumany pędzących gdzieś bez przerwy iskier. Ciekawy to widok! Przemykają chmury jakiejś ognistej szarańczy; to wzbijają się do góry, to osiadają masami na ziemię, szukając żeru i pozostają tam długo, świecąc w ciemności, nawet na śniegu, bo rozpalony węgiel kamienny posiada dużo ciepła i nie prędko ostyga. Czasami kłęby pary mieszają się z tym deszczem ognistym i wtedy za pociągiem płynie jak gdyby muślinowy woal przetykany złotem. Cudowne widowisko, a przytem bezpłatne! I po co było tak dużo krzyczeć na oszczędności kolejowe, skoro spływają z nich jedynie korzyści dla wszystkich! Kolej mogłaby wprawdzie zatamować ziejące potoki ognia za pomocą lepszego urządzenia kominów lub używania opału w lepszym gatunku, ale po co to? I tak wszystkim dobrze. Kolej oszczędza pieniądze, podróżny ma urozmaiconą drogę, służba zaś kolejowa może zapalać fajki i papierosy upadłemi na ziemi okruchami żarzącego się węgla. Jeżeli jednak podróżny wyjdzie na balkon wagonu, aby zaczerpnąć świeżego powietrza, ubranie jego pokryje się pstrokacizną; gdy się wychyli przez okno, dostrzeże niekiedy wznoszące się ku górze słupy ogniste; to już iluminacya dla miejscowej ludności. W każdym razie koleje zrobiły co mogły; wszak przed paru laty wyraziły one troskę o dobro ogółu, zabraniając dróżnikom obsiewać zbożem wązkie smugi ziemi, ciągnące się wzdłuż plantu, aby nie stały się powodem pożarów. Troska ta jednak nie zyskała uznania u publiczności i była jedynie powodem gazeciarskiego krzyku. To też koleje nauczone doświadczeniem, trzymają się obecnie innej taktyki; zaprowadziły nowy system podziału pracy, który zresztą praktykowany nie jest tylko na kolejach, a polega na tem, że pracę obmyślania nowych oszczędności pozostawia się sobie, troskę zaś o bezpieczeństwo publiczne — władzy. *P.*

Wspaniały pomysł.

P. Tymoteusz Łuniewski odkrył nowe źródło dochodu skarbowego, dotąd jeszcze nietknięte. Ponieważ dla znacznej liczby ludzi jedynym środkiem utrzymania jest gra w karty, więc p. Ł. radzi ten proceder obłożyć ciężarem podatkowym. „Osoby, żyjące z gry lub ciągnące znaczne z kart zyski, należałoby obłożyć opłatą roczną *gildyjną*, *procederową* i *dochodową* 10% od sumy wygranej... Do gildyi 1-ej karciarskiej należałyby osoby, mające dochodu z tego procederu rocznie 5000 rs. Opłata gildyjna od nich wynosić powinna rocznie 500 rs. Opłatę gildyi 2-ej ponosić powinny osoby, których dochód z kart dosięga rocznie rs. 750. Patent gildyi 2-ej powinien kosztować na rok rs. 50.“ P. Łuniewski tak dalece się zapala własnym pomysłem, że nawet z swej wyobraźni odtwarza olbrzymie kolumny cyfr, z taką pewnością, jakgdyby je zaczerpnął z poważnych źródeł statystycznych, stworzonych drogą długich i dokładnych poszukiwań. Otóż dowiadujemy się, że Królestwo liczy 100 „grubych graczy“ (ci dostarczą skarbowi z opłaty gildyjnej 50,000 rs.). Jest około 1000 graczy mniejszych (ci opłacą także 50,000). Wygrane po 5,000 rs. lub wyżej przez stu, wyniosą przynajmniej 500,000 rs., z tego 50,000 podatku. Z wygranej po 750 rs. przez 1000 osób będzie 750,000 z tego 10% skarbowi, czyli 75,000. Razem fachowi gracze dadzą 225,000 rs. Ale okrągłość i śmiałość obliczeń nie na tem się kończy. P. Ł. znajduje w Królestwie 40,000 ludzi grających w karty; tracą oni przy zielonych stolikach również okrąglutko po 1000 godzin rocznie, czyli 40 milionów godzin. Każda opodatkowana po 10 kop. uczyniłaby rs. 4,000,000. Razem zwykli gracze amatorzy dadzą dochodu rs. 4,250,000, wogóle zaś z fachowcami 4,475,000. Ładny grosz! I nikt dotąd nie wiedział o tak obfitem źródle dochodu, nikt nie urządził ankiety, komisyi, delegacyi; Towarzystwo popierania ruskiego przemysłu i handlu nie roztrząsało tej sprawy w szeregu referatów! P. Łuniewski wszystko załatwił w jednym artykule i nawet z powyższych sum wyasygnował na kontrolę i egzekucyę po rs. 2,500 na gubernię, czyli 25,000 na całe Królestwo. Doprawdy nie wiem co bardziej podziwiać: czy skarb spoczywający w grze karcianej, czy w głowie p. Łuniewskiego. Na każdą gubernię (sunjmy dalej niedokończony projekt) wypada 2509 rs., a więc jeżeli będzie pięciu kontrolerów, pięć rat jest gotowych dla Towarzystwa, a zatem tyleż dóbr uniknie na pewien czas licytacyi! Co za dobrodziejstwo! *Zn.*

SPRAWY EKONOMICZNE

Z NIEMIEC.

Berlin, 19 lutego.

Cukrownictwo jako jedna z dźwigni przewrotu.—Wywłaszczanie drobnej uprawy ziemi. — Fala obieżysasów i jej skutki. — Rozbicie obozu ziemiańskiego. — Polityczne dzieje partyi ziemiańskiej są streszczeniem zmian w technice rolnej. — Premie wywozowe i ich istotna zawartość.

Zastanawialiśmy się przed kilku tygodniami nad politycznemi zmianami dla Prus i dla całej Rzeszy niemieckiej wynalazku pędzenia gorzałki z ziemniaków. Obraz podówczas roztoczony warto uzupełnić skreśleniem stosunków, jakie za sobą sprowadził inny wielki przemysł rolny w Niemczech, mianowicie cukrowarstwo. Wprowadza ono nas w dziedzinę nieustającego przewrotu społecznego. Co okazało się po nad siły Saint-Justów, to właśnie wywiesił jako hasło swoje spokojny filister, posiadający w kieszeni akcye cukrowni. W Niemczech są one istotnymi taranami, burzącymi starocześne wzory społeczne i torującymi drogę ku innej przyszłości, a z zadania tego wywiązują się z większą skutecznością, aniżeli to uczynić zdołałby cały zastęp wysłańców myśli przewrotowej. Ci mogą tylko instynktom i potrzebom istniejącym nadać kierunek świadomy, ale nigdy nie posiadają mocy wykrzesania samych potrzeb i stanów uczuciowych, które muszą już przedtem istnieć. Tymczasem cukrowarstwo na wielką skalę stwarza te pierwiastki żywiołowe, ów materyał historyczny. A wszystkie te następstwa widzimy w Niemczech z całą dokładnością, bo produkcya cukru rozwija się tu z szybkością gorączkową, a jej wzrost należy chyba mierzyć nie latami, ale miesiącami. Jeżeli np. weźmiemy rok ostatni, z którego posiadamy cyfry, dotyczące wywozu, okaże się, że w tym okresie pierwsze miejsce przypada cukrowi buraczanemu. Produktu tego wysłano w r. 1890 z Niemiec za sumę 220 mil. marek, wówczas gdy tkaniny, zajmujące miejsce drugie w rubryce wywozu, dały kwotę jedynie 150 mil. Wogóle niewiele się znajduje wytworów niemieckich, które na rynku wszechświatowym posiadałyby znaczenie donioślejsze. Cukier właśnie wyłamuje się z pod tego stanu rzeczy i np. w Anglii panuje niemal wszechwładnie. A cały ów wywóz olbrzymi jest nawskróś dziełem lat ostatnich, tych, które nas przedzielają od rzezi z r. 1870 i 1871. Jeszcze w r. 1873/4 wywóz cukru z Niemiec nie przewyższał 200 tys. centnarów. W roku 1880/81 podnosi się on już niemal do 3 milionów, wreszcie w 1889/90 wyniósł $7\frac{1}{2}$ mil. Dwie trzecie całego produktu wędruje na rynki zagraniczne. Rozwój ten może służyć za wzór przewrotu, jaki odbył się w ciągu ostatniego dwudziestolecia w życiu ekonomicznem Rzeszy niemieckiej — z rolniczego stała się ona na wskróśprzemysłową. Cukrownie z plantacyami buraków usadowiły się mniej więcej dość zwartą połacią, dając w ten sposób początek okręgowi cukrowniczemu, podobnie jak istnieją bawełniany, węglany i inne. Saksonia jest głównem ogniskiem, bo posiada 125 fabryk i około 270 tys. morgów gruntu pod burakami, potem idzie Hanower, Brunświk i Anhalt.

Otóż powstaje pytanie, jakie stosunki powołał do życia ów nowotwór, który wżera się od lat 20 i rozwija na łonie niektórych dzielnic Rzeszy niemieckiej? Okolice te należą do najbardziej posuniętych w zakresie techniki rolnej. Zastosowanie maszyn parowych do uprawy gruntu jest tutaj zwyczajem, hodowla bydła doszła do szczytu. Wszystko to jest poniekąd następstwem usadowienia się cukrownictwa. Ale wraz z tą posuniętą techniką rolną z Saksonii zniknął zupełnie tradycyjny włościanin, zaspokajający wszystkie swoje potrzeby z własnego kawałka gruntu. A jeżeli istnieje jeszcze tu i owdzie, ulega masowemu wywłaszczeniu. Cukrownie odgrywają w tym razie rolę olbrzymią, stanowią one poprostu dźwignię ekonomiczną, która dokonywa oczyszczenia okolicy niętylko z rupieciarnicznych narzędzi i starocześnych sposobów uprawy, ale i z samodzielnego stanu włościańskiego. Ludzie krańcowo zachowawczy i jednocześnie zainteresowani w obronie cukrownictwa, otwarcie przyznają to oddziaływanie. Przewodniczący stowarzyszenia rolniczego, v. Hammerstein, powiada, że gdziekolwiek zapanowała produkcya cukru, niepodobna tam my-

śleć o utrzymaniu stanu włościańskiego, przynajmniej drobnych posiadaczów. Ktoś inny, z Saksonii, odzywa się, że drobne majątki nie posiadają tam widoków wytrwania i że włościanin, mogący utrzymać dwie krowy na gospodarstwie, musi zaniknąć — w większych majątkach. Przemysł cukrowniczy działa w tym kierunku naprzód ubocznie, ponieważ postęp w wielkiem gospodarstwie rolnem pozbawia włościanina rynków zbytu, ale jeszcze potężniej w sposób bezpośredni, wyzyskując drobnego właściciela jako uprawcę buraków. Tu i owdzie można słyszeć hymny na cześć owych przedstawicieli sakiewki, którzy raczyli osiedlić się w pewnej okolicy i przyłożyć rękę do czynu wzniosłego — założenia cukrowni. Milcząco poddaje się czytelnikowi tę myśl, że ów potok złoty, który wytryska z cukrowni i w postaci strumyków dywidendy wsiąka do kieszeni akcyonaryuszów, po drodze skrapia też niwę włościańską. Przypuszcza się, że chłop, lubo nie jest członkiem towarzystwa akcyjnego, jednak zgarnia cząstkę zysków i wogóle że istnieje koło cukrowni wyborna harmonia interesów — posiadacz kilku morgów uprawia ziemię, sadzi buraki i sprzedaje je z korzyścią. Piękna ta sielanka pryska, niby marzenie złudne, w oświetleniu, jakie rzuca rozwój stosunków niemieckich. Przedewszystkiem naprzeciw siebie stają postacie nierównomocne. Z jednej strony zjawia się monopolista, który wie doskonale, że sprzedawca jest doń przykuty łańcuchem poddaństwa — wszak drobny plantator nie pójdzie szukać bogów dalekich, jeżeli sąsiednia cukrownia obniży zapłatę za buraki! A nadto pomiędzy cukrowniami panuje porozumienie milczące, wówczas kiedy włościanie znajdują się względem siebie w położeniu współzawodników. Plantator drobny otrzymuje z fabryki nasiona i przepisy co do nawozu i uprawy, inspektorzy zakładu rozciągają baczny dozór nad plantacyami, słowem, cukrownia czyni wszystko, co tylko uzna za stosowne, aby burak posiadał jakość najlepszą. A jednak kiedy przychodzi do odstawienia, przyroda zawsze płata figle włościanom i daje zakładowi możność do rozmaitych wytrąceń, a to systematyczne obcinanie ceny buraków przekształca samodzielnego z pozoru chłopa na istotnego najmitę, otrzymującego, po odliczeniu kosztów i podatku, jedynie płacę za pracę dzienną. A jak bez ceremonii ów wyzysk się odbywa, o tem świadczy fakt następujący — jeden z wielu. Przed kilku laty zwiększono w Niemczech opodatkowanie buraków o 5, względnie 10 fenigów od centnara podwójnego. A ponieważ $^2/_3$ całego wytworu cukrowni idzie za granicę i przy wywozie cukrownik odbiera wniesiony podatek jako premię, przeto istotne powiększenie ciężarów podatkowych wynosi około 2 fenigów od centnara podwójnego. Tymczasem właściciele cukrowni odpowiedzieli na to opodatkowanie wytrącaniem aż 15 fenigów z sumy, uiszczanej za zwykły pojedynczy centnar włościaninowi! Słowem, wprowadzone podniesienie podatku całym swoim ciężarem przygniotło drobnego posiadacza, dla akcyonaryuszów zaś stało się źródłem zwiększenia dywidendy. Właśnie w splocie takich warunków cukrownictwo, kiedy usadowi się w pewnej okolicy, jest zwiastunem wywłaszczenia drobnych rolników, którzy z tych uścisków ratują się ucieczką za morze lub do miasta. Na wsi powstaje pustka, a okręgi cukrownicze już dzisiaj stoją u progu tego stanu rzeczy, kiedy ludność okoliczna wiejska stale z roku na rok ubywała. Brak rąk roboczych, tj. tanich, jest bardzo silny. To też okręgi cukrownicze, wywłaszczając chłopów i stwarzając pustkę, wywołały jeszcze inne zjawisko — *obieżysastwo* (Sachsengängerei). Szląsk, Prusy zachodnie, Poznańskie, wysyłają corocznie do 75 tysięcy wędrowców, którzy z prawidłowością pór roku opuszczają wiosną strony rodzinne i ciągną na zachód, tam, gdzie wznoszą się kominy cukrowni — zwiastuny plantacyj buraczanych. Tłumy te zostają jak śledzie wepchane do olbrzymich koszar, są karmione po koszarowemu, ustawione na polu pod kierownictwem oficerów-ekonomów. Wyzysk przechodzi wszelkie granice, ile że na wsi obowiązuje tak zwana ustawa czeladnicza, grożąca rokiem więzienia za wszelką zmowę celem wywalczenia lepszej żywności, płacy lub obejścia, a nadto ponieważ wielu nie rozumie języka miejscowego. Atoli koszary sasko-cukrownicze i owe wędrówki pozostawiają ślad inny. Przybysze przebywają tam istotną szkołę kulturalną, zapoznając się z potrzebami i poglądami, które nie tak prędko dotarłyby do ich wioski odludnej. Z głową przewróconą, jak mówi o nich pan wioski rodzinnej, z hardością na języku i wymaganiami „zbytku" wracają te ptaki wędrowne do domu, niosąc z sobą cały świat idej nowych i burząc rutynę ojczystego ustronia. Wyobraźmy sobie, że kwiat młodzieży wiejskiej zostaje oddany do szkoły, gdzie przyzwyczaja się do strawy lepszej i porządniejszego przyodziewku do krytyki otoczenia dotychczasowego z jego niską płacą, a otrzymamy przybliżony obraz tych skutków, jakie wywierają okręgi cukrownicze niemieckie na ludność wiejską całej tej przestrzeni, która się ciągnie na wschód od Odry. Jeszcze jakieś lat kilka, a ustronia wschodnie przedstawią inny widok kulturalny. Życie okazuje się znowu potężniejszem, aniżeli zamiary ludzkie. Atoli przemysł cukrowarski oddziałał jeszcze silniej, bo zagraża dziś dobrobytowi latifundyów wschodnich. Obieżysastwo bowiem, odciągając z jednej strony młode siły robocze, tem samem zmniejsza rezerwę głodnego tłumu najmickiego, który wzajemnem współzawodnictwem pozbawia sam siebie chleba; przyuczając zaś z drugiej do większych potrzeb, podnosi miejscową skalę wymagań. Jest to teraz w chwili zniżki ceny płodów rolnych na rynku, cios nader dotkliwy dla okręgów wschodnich i jeżeli przypatrywać się będziemy tak silnie wzbierającemu obecnie na Wschodzie prądowi agrarnemu, ujrzymy, że jednem z najgłówniejszych tam żądań jest zatamowanie owych letnich wędrówek obieżysasa. Wraz z tem ukazuje się antagonizm pomiędzy ziemianami pruskimi z obu stron Elby: jedni chcieliby zatrzymać owe potoki siły ludzkiej, drudzy je wzmocnić. Junkierstwo, tak zwarte ongi, kiedy technika rolna była wszędzie mniej więcej jednaka, mocą rozwoju ekonomicznego zostaje rozpołowiona. Okolice cukrowarskie pozbawiają ojczyznę kartofli taniego robotnika; prowadząc hodowlę bydła wypasowego na wielką skalę, mniej też dbają o cła zbożowe, a wielka sprawa darowizny 40 mil. marek rocznie junkrom-gorzelnikom posiada w ziemianach buraczanych mniej więcej stanowczych przeciwników. A to zróżniczkowanie interesu ziemiańskiego odbywa się na szerszą skalę i Niemcy rozpadają się na okręgi kantonalne — wódczane, buraczane, mleczarskie, nawet sadownicze. Każda taka rozmaitość ekonomiczna wywołuje odpowiednie skutki na polu dążeń politycznych. Odzwierciedliło to się w dziejach trzech ostatnich dziesiątków lat. Cała reakcya w Niemczech po r. 1848 oraz rządy Bismarka od chwili wojny z Francyą były dyktaturą nad krajem producentów wódki — szlachty, siedzącej we wschodnich prowincyach państwa pruskiego. Tymczasem wraz z tym rozwojem olbrzymim, jaki odbywa się w przemyśle niemieckim po wojnie, położenie to ulega zmianie. Zpośród junkrów wydzielają się tak zwani „wolno-zachowawcy," których podstawę stanowi obywatelstwo ziemskie, pochłonięte przez produkowanie buraków, bydła opasowego, mleka itd. Wraz z nacyonal-liberałami stanowią one najwierniejszą drużynę mameluków bismarkowskich. A tymczasem junkrzy znaku gorzalczanego skupiają się około opozycyjnej *Gazety krzyżowej*, później wywieszają sztandar antisemityzmu, teraz zaś od kilku tygodni, pełni gorączki, gotują rokosz formalny przeciwko polityce agrarnej nowego kursu, która jeszcze dalej odsunęła ich od wyzyskiwania kraju za pomocą prawodawstwa.

Słowem, stworzenie zgoła odmiennych warunków na wsi, wyłonienie wysoce doniosłego w swoich następstwach społecznych i politycznych ruchu obieżysaskiego, wywłaszczenie okolicznego włościaństwa drobnego, wreszcie rozbicie dawnej buty junkierskiej, zrzucenie ziemian wschodnich, którzy wydali Bismarka i Puttkamera, z dawnego stanowiska i zepchnięcie do szeregów antisemitów i rokoszan, oto są następstwa rozwoju cukrowarstwa. Nie dziw też, że cukrownicy, będąc potęgą ekonomiczną, zaczęli dobierać się do maszyny państwowej, aby jeszcze bardziej podniosła ona poziom dywidendy. Niemcy dały początek owym premiom wywozowym od cukru, które są opodatkowaniem spożywców krajowych w tym celu, żeby cukrownicy mogli tem taniej sprzedawać wytwór swój dalekiej zagranicy, a wprowadziwszy, zmuszają i inne państwa do pójścia tą samą drogą. Rozpoczyna się wyuzdane oszukiwanie skarbu przez cukrowników niemieckich. Opodatkowanie produktu odbywa się w ten sposób, iż opłata jest ściągana z buraków. Przyjmuje się pewną normę ich wydajności, np. że trzeba 14 centnarów, ażeby wydobyć centnar produktu cukrowego. Przy wywozie za każdy centnar cukru zwraca się, jako premię wywozową, podatek uiszczony za 14 centnarów buraków. Otóż owa skala wydajności zmienia się wciąż wraz z podniesieniem techniki cukrowniczej oraz z uprawą lepszych gatunków buraków. Skarb zostaje wciąż oszukiwany, bo w premii wywozowej, dzięki tym zmianom, ukrywa się nietylko zwrot podatków z odpowiedniej, ale o wiele większej ilości buraków. Ogółem, w ciągu ostatniego dwudziestolecia cukrownicy w postaci premij ściągnęli od skarbu niemal 500 milionów marek, tj. na pojedynczą cukrownię przypada więcej, niż milion dywidendy eksportowej! Ongi Lassalle wymagał 100 milionów talarów dla powołania do życia stowarzyszeń wytwórczych. Wyszydzono go za to, a w tej liczbie napewno wtedy znalazłaby się cała ciżba cukrowników. Tymczasem zgarnęła ona już niemal dwa razy tyle. A ile jeszcze zgarnie w przyszłości?.. *).

K. R. Ż.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Handel zbożowy. Plan uregulowania handlu zbożowego coraz wyraźniej się zarysowywa z pierwotnego szkicu. Na posiedzeniu podkomisyi 16 b. m. po ostatecznem zredagowaniu projektu, pierwsze miejsce zajęła organizacya dozoru na rynkach wewnętrznych. W sprawie handlu wywozowego większość członków porozumiała się w zasadniczych punktach; ostatecznie różnice w szczegółach wygładzi ministeryum skarbu. Przedstawiciele portów: petersburskiego, noworuskiego (odeskiego) i kaukazkich nie zgodzili się nawet w głównych poglądach z podkomisyą i złożyli swój własny projekt, którego osnowa jest następująca: Do wywozu z Rosyi może być dopuszczone zboże wszelkich gatunków, bez względu na jego przymioty. Wszystkie rodzaje ziarna, przeznaczonego na wywóz za granicę, podlegają specyalnej kontroli dla utrzymania na rynkach zagranicznych ufności do

*) Korzystaliśmy z broszury M. Schlppla: *Die deutsche Zuckerindustrie und ihre Subventionisten.*

handlu ruskiego. Dozór rozciągają oddzielne komitety zbożowe, składające się z członków-kupców w liczbie 2—12 i członków-ziemian 1—2. Czynności wykonawcze przy komitecie spełniają dozorcy przysięgli i ich pomocnicy. Komitety ustanawiają na każdy rok maksymalny procent domieszki do zboża, przeznaczonego na wywóz. Ziarno, mające więcej domieszki nad oznaczoną normę, nazywa się zanieczyszczone. Może być wywiezione za granicę, lecz osoba wysyłająca musi udowodnić komitetowi, że odbiorca zagraniczny wie o stopniu zanieczyszczenia. W razach wyjątkowych komitet może uwolnić eksportera od konieczności dowodzenia, że zboże zostało już sprzedane i pozwolić na wywóz zanieczyszczonego, lecz musi wtedy postawić osobie wysyłającej takie warunki, które dawałyby rękojmię, że zboże sprzedane będzie bez ukrywania procentu domieszki. O każdym takim wypadku komitet powinien zawiadomić ministeryum skarbu z wyłuszczeniem powodów. W buletynach handlowych powinny być zamieszczane oddzielne ceny zboża normalnego i zanieczyszczonego, tudzież podana wiadomość o każdej wywiezionej za granicę partyi zanieczyszczonego, z wymienieniem procentu domieszki i nazwiska eksportera. Wszystkie gatunki ziarna, przeznaczone na wywóz, podlegają rewizyi. Komitety przedstawiają do zatwierdzenia ministeryum skarbu przepisy, określające czas, sposób i metodę samej rewizyi, tudzież wybierania prób. Firmy handlowe, życzące sobie uwolnić się od obowiązkowej rewizyi wysyłanych przez nie transportów, mogą uzyskać tę ulgę, jeżeli złożą komitetowi deklaracyę, że i bez rewizyi będą wypełniały przepisy o kontroli zboża. Jeżeli potem wykryte będzie nadużycie, komitet nakłada karę na firmę. Eksporter, w którego zbożu znajduje się domieszki więcej nad ustanowioną normę i który nie posiada upoważnienia do wywozu zboża zanieczyszczonego, podlega za pierwszym razem karze 1 kop., za drugim 2, za trzecim 4 kop. od puda. Według życzenia eksporterów, komitety zbożowe mogą wydawać świadectwa, dotyczące rodzaju ziarna, wagi, stopnia zanieczyszczenia, mogą również zaopatrywać w pieczęć i numer próby i następnie poświadczać zgodność z nią towaru. Osoby, wysyłające zboże zanieczyszczone z miejscowości wewnętrznych przez granicę lądową, powinny: a) albo przedstawić świadectwo jednego z wewnętrznych komitetów zbożowych, które nakładają nadto plomby na wagony, b) albo postarać się o zlecenie do jednego z elewatorów na granicy zachodniej, gdzie ziarno może być oczyszczone i przeładowane. W razie niezachowania powyższych warunków, zboże zanieczyszczone może być zatrzymane na granicy, a eksporter skazany na karę.

Ponieważ projekt powyższy złożyli poważni przedstawiciele portów najbardziej w sprawie zainteresowani, można więc przypuszczać, że przynajmniej zasadnicze ich wnioski będą zatwierdzone.

Ważny jest również dla wytwórców rolnych i handlarzów projekt komisyi do uregulowania handlu zbożowego w wielkich miastach. W ogniskach takich członkami stowarzyszeń giełdowych muszą być obowiązkowo wszyscy miejscowi kupcy zbożowi pierwszej i drugiej gildyi. Uczestnictwo właścicieli ziemskich zostawiono do ich woli; zapisujący się do stowarzyszenia opłacają roczną składkę w tym samym rozmiarze, co kupcy pierwszej gildyi. O normie składki na każdy rok oddzielnie postanawia komitet giełdowy. Członkowie mają prawo wstępu na giełdę i zawierania na niej tranzakcyj bez żadnej oddzielnej opłaty. Nieuczestnicy za wejście i od uskutecznionych tranzakcyj wnoszą pewną opłatę. Zebranie radnych giełdy zbożowej składa się ze wszystkich kupców I-ej gildyi i takiej samej liczby właścicieli ziemskich. Jeżeli liczba członków tej kategoryi jest mniejsza, niż kupców I-ej gildyi, wszyscy właściciele ziemscy, będący członkami, wchodzą na listę radnych. Do rady wchodzą w tej samej liczbie kupcy II-ej gildyi z wyboru, dwaj przedstawiciele właścicieli ziemskich w komitecie dozoru nad eksportem zboża za granicę. Zebranie zatwierdza przepisy o handlu zbożowym, opracowane przez komisyę i rozstrzyga wszelkie ogólne sprawy, wniesione na zebranie. Członkowie komisyi zbożowej nie pobierają wynagrodzenia i są wybierani przez tajne głosowanie na trzy lata z łona kupców I-ej i II-ej gildyi. Komisya zbożowa bezpośrednio zarządza giełdą, jej majątkiem, personelem, tudzież zależnemi od niej instytucyami, czuwa nad działalnością meklerów, stanowi przepisy o szacowaniu zbóż wedle gatunków, wnika w ceny, redaguje projekty przepisów dla handlu zbożowego, roztrząsa wszelkie kwestye, mające z nim związek, wreszcie występuje za pośrednictwem komitetu giełdowego do władz z przedstawieniami o potrzebach handlu zbożowego. Jak widzimy, działalność komisyi w wielkich miastach będzie szeroka. Oba powyższe projekty, odpowiednio scharmonizowane, stworzą całość przepisów, które po wprowadzeniu w życie pchną na nowe tory maszyneryę handlu zbożowego. To też uwaga wytwórców rolnych i handlarzów rzadko dochodzi do takiego natężenia, jak w chwili obecnej, gdy się rozstrzyga tak ważna dla nich sprawa.

— Fabrykanci z Moskwy i Królestwa Polskiego, nabywający bawełnę środkowo-azyatycką, czynią starania u władzy o utworzenie stałej komisyi z agentów i przedstawicieli przemysłu fabrycznego, których obowiązkiem byłoby szczególowe rewidowanie towaru przy przyjmowaniu go na stacyi wysyłającej do Baku. Przyczyną tego są nieustanne skargi odbiorców na niesumienny przewóz bawełny kolejami, te zaś ostatnie tłomaczą się, że odbierają towar zamoczony i w złem opakowaniu.

— Ministeryum skarbu, chcąc zapobiedz wyzyskowi, któremu podlegają ruscy eksporterzy spirytusu ze strony komisantów hamburskich, deleguje przedewszystkiem specyalnego agenta do Hamburga z prawem śledzenia czynności giełdowych przy ustanawianiu cen okowity i przesyłania codziennych sprawozdań dla ogłaszania ich w organie urzędowym. Gdyby środek ten okazał się niedostatecznym, powstanie w Hamburgu agentura handlowa, która zajmie się sprzedażą spirytusu, z Rosyi nadsyłanego. Czynności agenta rozpoczną się od 1 kwietnia r. b. (*Gaz. losowań*).

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Na wyspach morza Kaspijskiego będą utworzone kolonie robót ciężkich, podobnie jak na Syberyi i Sachalinie (dziennik petersburskie).

— Ministeryum spraw wewnętrznych uznaje za rzecz bezwarunkowo szkodliwą istnienie kahałów, gdyż utrzymują one odrębność izraelitów. Komisya do spraw żydowskich zwróciła się do gubernatorów z żądaniem wypowiedzenia uwag w tym przedmiocie. Otóż prawie wszyscy oświadczyli, że skasowanie kahałów jest rzeczą niezbędną (*Mosk. wied.*).

— Poruszono myśl utworzenia oddzielnego instytutu inspektorów polowania, wybieranych z pośród ziemian w każdym powiecie. Obowiązki te będą honorowe.

— Dr. O. Bujwid przeniósł się na stałe do Odessy, gdzie obejmuje zwierzchni kierunek nad miejscową stacyą bakteryologiczną.

— Wobec rozwoju kas oszczędności postanowiono otwierać je nie tylko przy urzędach pocztowo-telegraficznych, lecz i przy szkołach ludowych.

— Wkrótce powstanie w Warszawie kasa sparć dla rodzin czeladników szewckich.

— Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło ustawę Towarzystwa spożywczego urzędników instytucyi państwowych i publicznych w Noworadomsku (gub. piotrkowskiej).

— Na czas trwania wystawy w Chicago utworzył się związek 59 najpoważniejszych towarzystw ubezpieczeń w Europie p. n. „Związek ubezpieczeń Chicago." Majątek wynosi około 450 milionów marek. Za ubezpieczenie, przyjęte przez którekolwiek z towarzystw odpowiada ogół. Opłata od każdego tysiąca sumy asekuracyjnej wynosi: na trzy miesiące rs. 4, na cztery — rs. 4 kop. 70, na sześć — rs. 6 itd. (*Kuryer warsz.*).

Szkoły. Departament rolnictwa zbiera szczegóły o wykładzie rzemiosł w szkołach ludowych.

— Rada lekarska w Warszawie wydała następujące rozporządzenie. Jeżeli praktykant dentystyczny przerywa naukę nie więcej niż na rok jeden, czas odbytej poprzednio praktyki będzie mu się liczył do obowiązującego terminu trzyletniego.

— Na przedstawienie rady uniwersytetu warszawskiego, ministeryum oświaty ponownie zatwierdziło na lat trzy p. Holewińskiego profesorem zwyczajnym na katedrze prawa cywilnego.

— Na trzyletnią kadencyę profesorów zwyczajnych zatwierdzeni zostali: pp. Lubowicz dziekanem wydziału filologicznego, Simonienko — wydziału prawnego.

— Ministeryum dóbr państwa otworzy w r. b. 5—6 nowych szkół mlecznych, z nauką wyrobu serów i masła.

— Warszawskie Towarzystwo dobroczynności ma obecnie do rozporządzenia stypendyum dla ucznia gimnazyum lub studenta uniwersytetu w kwocie rs. 119, tudzież zasiłek rs. 150 z zapisu d-ra Orzechowskiego dla ucznia szkoły specyalnej. Pierwszeństwo do zasiłku mają rodziny: Orzechowskich, Mianowskich, Malewskich i Śniadeckich. Podania należy wnosić przed ostatecznym terminem 10 marca r. b.

— W czterech cyrkułach Warszawy, przeważnie zamieszkałych przez ludność ubogą, Towarzystwo Dobroczynności otwiera wkrótce cztery oddziały dla małoletnich, którzy się uczyć będą robót ręcznych, wchodzących w zakres: stolarstwa, koszykarstwa, prania itd.

Sprawy kolejowe. Zarząd kolei skarbowych zawiadamia, że wyłączone zostały z taryfy komunikacyi warszawsko-południowo-wschodniej koleje: Doniecka, Jekaterynieńska, Kursko-Kijowska, Kursko-Charkowsko-Azowska, Libawsko-Romeńska, Łozowsko-Sewastopolska, Poleskie i Charkowsko-Mikołajewska.

— Zarząd kolei Południowo-Zachodnich zawiadamia, że od dnia 27-go grudnia r. z. otwarty został ruch na oddziale Słobódka-Rybnica, odnogi Nowosielickiej.

— Mechanik jednej z kolei kaukazkich, p. Faustyn Sikorski, przedstawił zarządowi drogi Terespolskiej model aparatu elektrycznego, automatycznie ostrzegającego dróżników o zbliżaniu się pociągów. Szkoda, że nie będzie on zarazem budzić zasypiających ze znużenia dróżników na dyżurach 24-godzinnych.

— Projektowana budowa odnogi kolejowej od stacyi Nieszawa linii Aleksandrowskiej (kol. Wiedeńsk.), otrzymała zatwierdzenie ministeryum. Roboty sposobem administracyjnym rozpoczęte będą na wiosnę. Linia ta ma na celu główne ułatwienie dostawy wewnątrz kraju towarów, sprowadzanych do komory celnej wodą z zagranicy. Koszt budowy (około 6-ciu wiorst) z budynkami i powiększeniem stacyi Nieszawa, wyniesie 180,000 rs.

— Komisya, zajmująca się sprawą uregulowania ruchu, zaprojektowała zmiany, zapewniające odpoczynek służbie pociągowej i stacyjnej. Praca tej ostatniej nie powinna przewyższać 14 godzin latem, a 12 zimą, odpoczynek na dobę przynajmniej 6 godzin, a nadto dwie doby w ciągu miesiąca powinny być zupełnie wolne od pracy. Czas zajęcia dla służby ruchu należy ograniczyć do 18 godzin na dobę. W pociągach pasażerskich bezpośrednio za tendrem konieczny jest zawsze jeden wolny wagon służbowy.

— Do konwencyi berlińskiej, dotyczącej międzynarodowego przewozu towarów, przystąpiło ogółem 41 kolei, między innemi także wszystkie w obrębie Królestwa Polskiego.

— Zarząd kolei Nadwiślańskiej wydał rozporządzenie, aby niezwłocznie sprawdzić wzrok zwrotniczych, ustawiaczy pociągów tudzież wagenmajstrów i—wszystkich niepełnoletnich usunąć od tych obowiązków a na przyszłość przyjmować tylko tych, którzy ukończyli 21 lat wieku.

— Zarząd kolei Dąbrowskiej rozdał w tych dniach gratyfikacye w ogólnej sumie 6,000 rs. dla oficyalistów mało płatnych, zajmujących posady od r. 1885.

— Od 8 marca wprowadzona będzie nowa taryfa dla komunikacyi pomiędzy Sosnowicami (kol. Wiedeńska i Dąbrowska) a stacyami dróg niemieckich (*Mosk. Wied.*).

— Pomocnikiem naczelnika służby ruchu i zarządzającego wydziałem technicznym kol. Dąbrowskiej został inż. Gordiejenko.

Zdrowie publiczne. Z liczby 165 zakładów spożywczych warszawskich, w ostatnich dniach zrewidowanych, w 10-ciu znaleziono nieświeży towar i różne wykroczenia zdrowotne.

— *Żurn. Winodielia* przytacza charakterystyczne cyfry fałszerstwa: Moskwa otrzymuje w ciągu roku za pośrednictwem wszystkich kolei 510,600 pudów win ruskich i zagranicznych, wywozi zaś 676,900, czyli o 166,300 więcej, a przecież to miasto nie posiada własnych winnic. Skąd zatem nadwyżka wywozu nad przywozem, nie licząc spożycia na miejscu?

Gospodarka miejska. Magistrat m. Warszawy na gruntowne odnowienie posągu Kopernika wyjednał i wniósł do budżetu kredyt w sumie 5,600 rs.

Bibliografia. K. Junosza. *Pod wodę* (Wyboru pism tom IV), str. 224, Warszawa.

— Dr. Z. Daszyńska. *Szkice metodologiczne*, str. 64, Warszawa, Gebsthner i Wolff.

Zmarli. Zenon Kappaport w Warszawie; dziennikarz piszący pod pseudonimem Kamertona.

— Marceli Piramowicz w Kielcach, długoletni reżyser b. teatrzyku Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. Zyg. T. Tyle jest odmian obłędu, że i taka zdarzyć się mogła. Ale sam zwyczajny opis jakiegoś zboczenia nie jest jeszcze utworem artystycznym.

St. Mol. Bobrzyńskiego, Spasowicza lub Dubieckiego, Maleckiego lub Bema.

P. S. Szudrawskiemu w Wilkes-Barre Pa. Odebraliśmy.

Mogens. Drukowaliśmy. Odcinek mamy obecnie na długo zajęty.

M. Nie przeczymy, że hr. P. może być uczciwym człowiekiem, ale szczegóły jego życia nie czynią go bohaterem, którego byśmy w *Prawdzie* sławić mogli.

Bronisławowi (S.S.) w Petersburgu. W nadesłanym artykule uwagi ogólne są już czytelnikom naszym znane a projekt „kółek" niewykonalny.

Panu Ludw. M. w Ber. Niewątpliwie, że tak zaczynających a inaczej kończących jest bardzo wiele. Ale to rak, który toczy wszystkie społeczeństwa europejskie, przesiąkłe zarazą zbytku i używania za wszelką cenę — własnej godności i cnoty lub cudzej krzywdy.

Pani Zofii G. w S. Co do strony fizycznej: Dr. A. Bednar *Dyetetyka dziecięca* (str. 189, kop. 10), A. Berger *Choroby dziecięce* (str. 93, k. 75), Dr. W. Kosmowski *Rys hygieny dzieci w pierwszych latach* (str. 229, k. 75) i inne. Co do strony duchowej—wydana przez nas *Psychologia dziecka*, Wolberga.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 12 Февраля 1893 г. — Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.